

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPÓŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do „Roli” przyjmują się po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. Nadesłane po 50 kop wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

O popieranie pisma naszego, mającego do zwalczania, ze względu na swoje odrębne stanowisko w prasie, nader trudne warunki, wszystkich życzliwych nam — prosimy.

Nierozum czy... niesumienność?

Obowiązek sumienia i obowiązek publicystyczny nakazuje nam zaprotestować stanowczo i... dobitnie przeciw taktyce pewnych naszych dzienników, używanej przez nie przy podawaniu sprawozdań z tak nazwanych „Ogólnych zgromadzeń członków” — tutejszych instytucji prywatnych, jak np. banków, kolei żelaznych, towarzystw ubezpieczeń i t. p.

Taktyka ta nie od dzisiaj jest stosowaną; nigdy jednak nie ujawniła się ona może w sposób tak obrażający godność i powagę drukowanego słowa, jak w sprawozdaniach z ostatniego ogólnego zebrania członków Towarzystwa wzajemnego kredytu, odbytego w Warszawie w dniu 11 b. m.

Czem ta instytucja ma, a raczej miała być w zasadzie, — objaśniać czytelników naszych nie potrzebujemy, boć o wszystkich tych, niby naszych instytucjach finansowych pisaliśmy w swoim czasie obszernie (1). Nie potrzebujemy również objaśniać, o co mianowicie szło na ostatnim zgromadzeniu w Towarzystwie wzajemnego kredytu, gdyż i o tem mówił już nasz feljetonista w numerze poprzednim, a uzupełnienie sprawozdania tego podajemy jeszcze w „Kronice” dzisiejszej. Natomiast, chcemy w tej chwili podnieść tylko zachowanie się prasy, z powodu dyskusyi jaka się na zebraniu toczyła między zarządem Towarzystwa a jego opozycją.

Wiadomo, a przynajmniej każdy umysł rozsądny tak te rzeczy pojmuje, że instytucje finansowe, i zwłaszcza też instytucje oparte na gruncie wzajemności, nie spadły z powietrza, lecz wyrosły z grosza i trudu ogółu stowarzyszonych, że przeto ogółowi służyć one powinny, i że nakoniec ogół tenże ma wszelkie prawo nie tylko rozciągać nad nimi swą kontrolę, ale i ich działalność brać pod ścisłą krytykę. I śmiało też rzec można, że dana instytucja, z tej kategorii o jakiej mówimy, o tyle tylko może odpowiadać naprawdę swojemu zadaniu i celowi, o ile ta kontrola i ta krytyka ze strony ogółu uczestników, nie będzie czczą formą, ale uczciwie pojętym i sumiennie spełnianym obowiązkiem.

Wyobrażeniem takiej kontroli i krytyki publicznej, a jednym zarazem polem do spełniania swojej powinności przez stowarzyszonych, mają być zebrania ogólne; jak zaś u nas, w naszych instytucjach prywatnych, kontrola ich działalności się odbywa i jak obowiązek tej kontroli się spełnia, wiadomo jest powszechnie.

Na czele wszystkich banków prywatnych, nie wyłączając i opartych na najpiękniejszej zasadzie wzajemności, stoi tutejsza plutokracja żydowska, a przed tą kliką potężną materialnie i zsolidaryzowaną, wszystko drży i wszystko się korzy. Ztąd też naturalnie i główna działalność instytucji polega na służeniu interesom kliki, z pominięciem i naj-

cięższą krzywdą interesów stowarzyszonych i w ogóle interesów społecznych. Ztąd instytucje, te właśnie które, jak wspomnieliśmy, z grosza i trudu ogółu powstały, zamiast groszem tym wspierać cele uczciwe, produkcyjne, — wspierają przede wszystkim lichwę! To jest fakt po tysiącokroć stwierdzony, i to jest najwybitniejsza cecha, owej znanej już dobrze czytelnikom „Roli” gospodarki finansistów warszawskich, przeciwko której nikt protestować nie śmie.

Nikt, z wyjątkiem wyrabiającej się już i tutaj powoli garstki opozycyi której najwybitniejszymi przedstawicielami — jest w Warszawie dwóch ludzi: p. Bolesław Maciejowski i p. Bronisław Korpaczewski. Czy panowie ci mają dobrą lub złą „swadę oratorską”, czy mówią „roz-wlekłe” czy nie, nie o to jak w tej chwili idzie, — to zresztą jest drobnostką w obec głównego celu oponentów i ich wytrwalej opozycyi; drobnostką wobec tego, że ci dwaj ludzie mający odwagę i dobrą wolę stawić czoło, potędze kliki żydowsko-plutokratycznej, wiedzą czego chcą. A chcą oni mianowicie i chcą przede wszystkim aby instytucje kredytowe służyły nie tej klice wyłącznie, ale interesom ogółu, aby wspierały nie różne uorganizowane bandy lichwiarskie, ale aby przychodziły z rzeczywistą pomocą rolnictwu, przemysłowi, zwłaszcza drobniejszemu, i rękodzielnictwu. Chcą przeto, panowie Maciejowski i Korpaczewski, aby zarządy owych instytucji nie uważały się za ich dziedziców, jak to właśnie ma miejsce, ale za wykonawców woli i stróżów dobra stowarzyszonych, którzy je (t. j. zarządy) do wykonywania tej woli powołali i za co zresztą grubo je wynagradzają. Chcą więc p. p. M. i K. poszanowania praw stowarzyszonych — jak w ogóle chcą oni zwrócenia działalności tutejszych instytucji prywatnych w kierunku istotnego dobra i pożytku kraju.

Zdawałoby się przeto, że prasa która przecież z zasady ma stać na straży tegoż samego dobra i pożytku, powinna by ludzi takich, poświęcających swój czas i pracę, a obok tego narażających na szwank interes własny w interesie publicznym, — z zasady również, rozumnie i wytrwale popierać; — tymczasem widzimy coś wprost przeciwnego, coś, co albo jest wielkim... nierozumem albo — wielką niesumiennością. Panowie Maciejowski i Korpaczewski, po każdym wystąpieniu, są — ze strony większości naszej prasy — przedmiotem drwin, docinków, wyszydzań, a w sprawozdaniach z ostatniego ogólnego zgromadzenia członków w Towarzystwie wzajemnego kredytu, ta przedziwna taktyka stróżów i opiekunów dobra publicznego, doszła już nie tylko do... absurdu, ale do — skandalu.

Bo oto co naprzykład pisze „Kuryerek Warszawski”, organ wprawdzie tylko brukowy, organ którego współwłaścicielem jest żyd, ale którego współwłaścicielem także i podpisanym kierownikiem jest publicysta, co o gospodarce finansistów warszawskich, — gospodarce stanowczo i bezwzględnie dla ogółu szkodliwej, powinienby coś wiedzieć, a nawet wie z pewnością:

„I teraz — czytamy w sprawozdaniu tego pisma, w Nrze 102 — słyszeliśmy te same nieśmiertelne ataki p. p. Korpaczewskiego i Maciejowskiego; te same, z macierzyńską, zaiste, wyrozumiałością i cierpliwością udzielane wyjaśnienia p. p. Blocha i Wieniawskiego; to samo wreszcie przywoływanie do porządku rozbujających

(1) Zob. artykuły p. t. „Gospodarka finansistów warszawskich” — „Rola” z r. 1886 i 1887.

fluktów (?) pseudo-opozycji, padające z wymownych ust p. Dawida Rozenbluma.

Tyle i nic więcej: ani jednego słowa z treści owych „ataków” „pseudo-opozycji” i z treści owych „z istic macierzyńskiej wyrozumiałością i cierpliwością udzielanych wyjaśnień” przez „wymowne usta” panów Dawidów Rozenblumów, Blochów i t. d. Niema też w „sprawozdaniu (!) z obrad” nawet wzmianki najlżejszej, że owa „pseudo-opozycja” wystąpiła w sprawie ogółu stowarzyszonych i ogółu ludzi potrzebujących uczciwego kredytu, podczas gdy złotouści Dawidowie przemawiali tylko w interesie... swoim, swojej kliki i — *swoich*...

Powiedzianem jest tylko, że wszystko co padało z „wymownych ust” tychże p. p. Dawidów, było bardzo mądrę, wszystko zaś o co ich interpelowała „pseudo-opozycja” było bzdurstwem i basta. I czytelnik, uczestnik instytucji, w której składa pieniądze, nietylko musi wierzyć sprawozdawcy na słowo, ale nadto musi on być wdzięcznym płatnemu przezeń — i to... dobrze płatnemu — zarządowi za to, że członkowie jego raczą łaskawie, raz do roku, „z istic macierzyńską wyrozumiałością i cierpliwością”, objaśniać interpelantów co się właściwie robi... z groszem przez nich składanym.

Albo oto co pisze kolega „Warszawskiego” — „Kuryerek Codzienny”: Sprawozdawca, (Nr. 102), podniósłszy także (a jakże!), „wymowne dowodzenia” p. Dawida Rozenbluma, tak konkluduje: „Płonne te dyskusje trwały dwie godziny, inaczej mówiąc, 120 osób straciło bezprodukcyjnie 240 godzin pożytecznego zajęcia, lub przyjemnej zabawy”.

Znaczy to znowu: i po cóż wy tam „goimy” chodząc na te posiedzenia, na zebrania ogólne, skoro wasza gadanina jest „płonna”, a jeno panów Rosenblumów i innych polaków możeszowych pełną treścią, wymowy i mądrości głębokiej? Oddaliście pieniądze, i to powinno wam wystarczać, albowiem cokolwiek z pieniędzmi temi zrobić raczy zarząd — musi to być bardzo rozumne i racjonalne. Siedźcie tedy w domu i pracujcie lub bawcie się, a zarządy mniej lub więcej... starozakonne, w instytucjach przez was stworzonych i z waszego grosza żyjących, niech robią co im się podoba!

Mniejsza już jednak o... „Kuryery”; one, rzec można, są od tego, aby tak nie inaczej pisały; ale co powiedzieć o organie poważnym, organie chrześcijańskim i konserwatywnym, za jaki ma uchodzić — „Słowo”?

A i to „Słowo”, w sprawozdaniu z tegoż samego posiedzenia w Towarzystwie wzajemnego kredytu, taką, t. j. podobną bardzo do poprzednich, wygłasza (Nr. 84) sentencję pouczającą:

„P. p. Bloch i Wieniawski z niewyczerpaną cierpliwością (!!!) udzielali wymienionym mówcom (p. p. Maciejowskiemu, Korpaczowskiemu i Wróblewskiemu) objaśnień, z których okazało się (?) że wszystkie ataki interpelantów pochodzą albo z niedość pilnego studyowania sprawozdania, albo z nieznajomości ustawy”.

VON KRAMST

przez

Autorkę „Opowiadań”.

(Dalszy ciąg.)

To znowu, nie odstępując od przedmiotu, zmieniał wody myśli.

— Gdyby się znalazła w położeniu, potrzebującym pomocy ludzkiej, lub obrony, lub poparcia, czyby w obec niebezpieczeństwa zażądała odemnie czegośkolwiek? — zapytywał siebie. I wnet sam sobie odpowiadał: — Nie, nie żądałaby nic odemnie! Te usta z nieco grubszą dolną wargą, znamienują dumę, one nie znają, ni prośby, ni skargi...

Włodzimierz wiedział, że panna Zapolska bywa często na plebanii, udał się więc pewnego dnia w odwiedziny do proboszcza. Szedł z zamiarem dopytania się czegoś o tej sąsiadce, a może z nadzieją spotkania jej tam.

Ksiądz był swiatły, gościnny, ujmującego obejścia, Włodzimierz niespodzianie znalazł w nim miłego człowieka, który mu się podobał; spędził z nim parę godzin, nie nudząc się zgola, — ale o panie Zapolskiej nie śmiał zrobić najlżejszej wzmianki. Gdy odchodził zostawił proboszczowi, sam nie wiedząc dlaczego to czyni, trzysta rubli na oparkanie kościelnego cmentarza.

I znowu prawie ani pół słowa objaśniającego. Niema nic powiedziane, w czym mianowicie, w jakich punktach czy paragrafach „interpelanci” okazali „niedość pilne studyowanie sprawozdań” i „nieznajomość ustawy”; ale jest zato, obok szyderstw z „interpelantów” występujących w imię dobra stowarzyszonych, — apologia p. p. Blochów, Wieniawskich, Rosenblumów i innych członków zarządu, raczącego łaskawie i „z niewyczerpaną cierpliwością”, za 68,000 rubli rocznie (tyle już dziś wynoszą w Towarzystwie koszta administracji), zarządzać i szafować groszem tychże „interpelantów”, czyli stowarzyszonych.

Prosimy czytelnika aby nas nie zrozumiał fałszywie: — nie kruszymy kopii specjalnie w obronie p. Korpaczewskiego, p. Maciejowskiego i t. d., lecz w obronie zasady. Idzie nam też w tej chwili już nie o tych lub innych „oponentów”, ale o to raczej, aby czytelnik sam — przyszedł do zadania sobie pytania, czem nazwać takie informowanie publiczności, w sprawach jej własnego grosza i mienia dotyczących, przez prasę mającą służyć nie interesom danych klik bankierskich, ale tej właśnie publiczności szerokiej, która ją — tę prasę naszą — utrzymuje, żywi i opłaca?

Nam bo się zdaje, że jakkolwiek podobną taktykę publicystyczną nazwiemy: szczytem nierozumu czy niesumienności, skutek jej będzie zawsze ten sam. Będzie nim zobojętnianie ogółu względem najżywoźniejszych spraw swoich, społecznych i ekonomicznych, i oddawanie spraw tych na pastwę kasty, dla której ideałem wszelkiej roboty jest zawsze jedno: wysysanie wszystkiego, co się tylko da wyssać, na korzyść *swoją i swoich*, a z krzywdą naturalnie i z coraz groźniejszym zubożaniem społeczności polskiej.

I takiej to robocie dopomagają pisma, utrzymywane kosztem tej samej społeczności i — drukowane po polsku! O, gorzka ironio!

J. Jeleński.

Listy z Galicyi.

XXXVIII.

(Dokończenie.)

Trzech ludzi wybitnych, acz każdy z nich w innym zawodzie pracował, straciło temi dniami nasze społeczeństwo. Są to: Biesiadecki, Żmurko i Simon. Pierwszy był najmłodszy między nimi i najznakomitszy. Umierając, Dr. Alfred Biesiadecki nie miał jeszcze skończonych lat 50-ciu, a już od lat blisko dwudziestu, znała go cała Europa, jako znakomitego uczonego, który liczne prace ogłaszał w fachowych pismach lekarskich. S. p. Biesiadecki był jakiś czas profesorem na uniwersytecie Jagiellońskim, a ostatnie dziesięciolecie spędził na szaczonej posadzie protomedyka w namiestnictwie lwowskim. Na tem stanowisku spełnił czyn, który go otoczył sławą wobec świata całego, bo kiedy wybuchła znana dżuma astrachańska, zgłosił się sam do rządu z prośbą, by go wysłał do Wietlantki, gdzie zaraz chciał badać.

Proste, lecz serdeczne wynurzenie wdzięczności plebana, uradowało go.

Z tem wszystkiem, gdy wrócił do domu, popadł znowu w rozdrażnienie, zły był na siebie. Poco tam poszedł? dlaczego, niby parweniusz, fanfaron, rzucił rublami? Wstydził się swej dobroczynności, radby cofnąć ofiarę, którą teraz uważał za pretensjonalną, za demonstracyjną, za ośmieszającą ofiarodawcę.

Stało się to dziś rano, nikt jeszcze nie wie o tej jego hojności; ale jutro mogą się dowiedzieć, że Włodzimierz von Kramst, ewangelik z wyznania, Włodzimierz z niemieckiem nazwiskiem, on, potępiający zawsze i wszędzie katolicyzm, on, rzucił trzysta rubli katolickiemu księdzu, na oparkanie katolickiego kościoła! Nawet był tyle nieoglednym, że nie zastrzegł dyskrecyi... Ona się dowie o wszystkim, wraz z innymi... ona się dowie, że Włodzimierz von Kramst bawi się w naśladowanie jej...

A teraz znowu co?... zapomniiał się... powiedział wobec Michasia, że nie umie nienawidzić tego co szlachetne; wyraźnie zaakcentował, że o niej mówi, dodał nawet, że nie mógłby jej nienawidzić...

Dwie nietaktowości w jednym dniu, to za wiele!

Po co dopytywał się o nią? ona mu jest najzupełniej obojętną, ona, to nic, to zero, to jakaś parafialna kuglarka! cóż go może obchodzić ona?... Chodzi mu więcej o tego

Mimo że miał dzieci, które mógł osierocić, nie cofnął się przed spełnieniem swego obowiązku. Jako profesor, był ubóstwiany przez uczniów, jako człowiek, był powszechnie lubiany i ceniony. Akademia umiejętności straciła w nim jednego z pierwszych i najwybitniejszych członków. Nad mogiłą profesor Rydygier rzekł, że „s. p. Biesiadecki był swego czasu prawdziwą i najjaśniejszą gwiazdą uniwersytetu krakowskiego”. Lat temu kilka, spotkał go cios okropny. Jeden z jego synów z pierwszego małżeństwa, młodzieniec już dorosły, spadł w Tatrach w przepaść i zabił się na miejscu. Ojciec zniósł ten ból z chrześcijańską rezygnacją. Piszący te słowa znał dobrze nieboszczyka, i śmiało to może powiedzieć, że nie tak zdarzyło mu się w życiu spotkać drugiego uczzonego tak rozsądnego, miłego i zarazem skromnego. Galicya straciła w nim jedną z pierwszych gwiazd swoich, ludzką szlachetność człowieka.

Wybitną osobistością był również dr. Wawrzyniec Żmurko, profesor matematyki na uniwersytecie lwowskim, należącego do najzdolniejszych, w tej gałęzi nauk. Był i on członkiem Akademii umiejętności, ale ponieważ światu mało się dzieliło i był wciąż pracą zawodową zajęty, więc go też mniej znano. Natomiast, cenili go wysoko matematycy, dla których kilka wartościowych dzieł zostawił. Malarz Żmurko jest jego synem.

Niepospolitego matematyka we Lwowie prawie nikt nie znał, zato wszyscy znali ruchliwego bankiera, Edwarda Simona, który także niedawno rozstał się z tym światem. Simon pochodził z rodziny niezamożnej, szkół nie kończył, a zawód swój rozpoczął od praktyki w kantorze bankierskim. Powoli zaczął się na pierwszy plan wysuwać, gdy zaś książę Leon Sapieha, znany u nas swego czasu z pierwszorzędných zdolności finansowych, poznał się na nim, zrobił go swym bankierem nadwornym. Odtąd nazwiska Sapieha-Simon są ściśle z sobą związane. W ostatnim piętnastolecu, nieboszczyk był pierwszym dyrektorem Banku Kredytowego, którego głównym akcyonaryuszem jest teraz książę Adam Sapieha. Prezydował on także i w Izbie handlowej i w tym charakterze należał do Sejmu. Na widowni politycznej nigdy nie stał. Świat go znał jako finansistę, a lubo wielu poczytywało go za znakomitość, człowiek sumienny nie może powiedzieć, by Simon na tę nazwę zasługiwał. Był to prosty bankier galicyjski, w rodzaju Hahnów, Rappaportów i innych, giełdżiarz, który o niczem więcej nie myślał, jeno o pobieraniu wysokich procentów. Daleko mu do Tyzenhauzów, Lubeckich, a nawet nie umywał się do Kierzkowskiego w Krakowie. Człowiek ten nigdy nie starał się dźwignąć przemysłu w Galicyi, zato namawiał szlachciców, przed laty ośmnastu, żeby grali na giełdzie, i z jego łaski stracili oni miliony. Jakiś czas był duszą największej papierni w Galicyi, znajdującej się w Czerlanach, która została założoną „na akcyę”. Administrował jednak nią tak dobrze, że zbankrutowała i akcyonaryusze wszystko stracili. Twierdził wówczas, że w Galicyi żadna papiernia nie może się

chłopca, o Michasia, bo tym się bawi, a tamta dyabelnie nudną być musi. Ten Michaś, po owem zaręczeniu, że on, Włodzimierz nie potrafi nienawidzić dostojności i szlachetności, patrzy mu teraz w oczy tak dobrotliwie, z taką otuchą, że Włodzimierz znieść nie może michasiowego wejrzenia, drażni on go swym prowokującym wzrokiem.

— Twoja pracownica, — ozwał się, z powracającą mu werwą ironiczną, — nie jest pracownicą, lecz raczej jest bładnicą, wiodącą na bezdroże, gdy umiała podziślać tak na twą wyobraźnię, z uszczerbkiem zdrowego krytycyzmu. Twoje senne zjawisko z legendy żerdzińskiej istnieje w twojej wyobraźni, na jawie masz z krwi, z kości, z popędów kobietę taką samą, jak inne; ten meteor błysnął ci może w chwili, gdy oczy twe potrzebowały jakiegokolwiek blasku. A wszakże najognistsze meteory wypalają się i gasną w mgnieniu oka. Twoje, że tak powiem, dziecinne uwielbianie panny Zapolskiej, jest miłością z wyobraźni, drobnem zboczeniem umysłowem... Widujesz ją dorywczo, przelotnie; mignie ona przed tobą i zniknie... Ztąd uważasz ją za cud... i twoja fantazyja goni za nią, obleka jej czyn najpospolitszy w nadprzyrodzonosć, przyczepia do jej postaci to, czego w rzeczywistości niema. Gdybyś mógł zbliżyć się do niej, rozpałtrzyć się w jej powszednim życiu, ręczę, że twoja mistyczna miłość, zmieniałaby się w realną, ludzką, zapragnąłbyś posiadać to, do czego się modlisz w ekstazie teraz. Kochasz

utrzymać, tymczasem ta... fabryka rozwija się dziś bardzo pomyślnie w rękach prywatnych. Jedyną jego zasługą było to, że spolonizował Izbę handlową, która przedtem była niemiecką. A mimo że działalność jego, jako... przedtem była, nie była dla kraju korzystną, przeciwnie, była ona... wręcz szkodliwą, nasi trybuni lwowscy, nie mogący o żadnej rzeczy wydać sądu zdrowego, rozpisali się o nim jako o mężu znakomitym, który swój kraj osierocił!...

Na zakończenie listu niniejszego, muszę przytoczyć, co piszą ze stołecznego miasta Bukowiny. „Chyba raz na sto lat może się zdarzyć, aby katastrofa u brzegów Australii była w stanie poruszyć takie miasto jak Czerniowce, tymczasem, stało to się właśnie teraz, po zatonięciu licznych okrętów na wodach wysp Samońskich. Niejaki p. Kokowski, rodem z Warszawy, miał przez lat kilkadziesiąt sklep w jednym z miast Prus Zachodnich, gdzie dorobił się skromnego majątku. Najstarszy syn jego, Bolesław, ukończywszy studia w Niemczech, wstąpił do niemieckiej marynarki, jako inżynier przy flocie wojennej. Reszta dzieci była jeszcze przy rodzicach. Wtem, jak grom z jasnego nieba, spada na głowę pana Kokowskiego dekret banicyjny. Kazano mu wyjeżdżać. Zwinął handel, wziął kij tułaczy, i wraz z żoną i pięciorgiem dzieci w świat wyruszył. Był w Budapeszcie, Konstantynopolu. Bukareszcie, w końcu osiedlił się w Czerniowcach. Równocześnie, gdy ojca wydalano, wypowiedziano Bolesławowi służbę w niemieckiej marynarce. Młody człowiek zaciągnął się teraz na dwa lata do wojennej marynarki angielskiej i pełnił służbę na parowcu „Caliope”, który krążył między Samoa, a brzegami Nowej Zelandyi. Bolesław często pisywał do rodziców w Czerniowcach. Ostatni raz, d. 2 Lutego, donosił z Aukland, że okręt jego odpływa do Samoa, że za kilka miesięcy kończy mu się dwa lata służby, poczem wróci do rodziny. Tymczasem nastąpiła straszna katastrofa. Przerazony ojciec zatelegrafował do admiralicyi w Londynie, pytając o los syna. W kilka godzin przyszła odpowiedź równie straszna jak lakoniczna: „Niestety, nieocalony. Admiralicja”. Bolesław liczył 26 lat. Oto jedna z ostatnich ofiar pruskiego „ausrotten”!

Rolarz.

KONIEC ŚWIATA.

STUDYUM PSYCHOLOGICZNO SPOŁECZNE
przez Edwarda Drumont.

KSIEGA DRUGA.
Panowanie burżuazji.

(Dalszy ciąg.)

Dla tych synów burżuazji, ta Republika, w której wszystko jest na sprzedaż, jest rządem doskonałym. Sławny frazes pana Lenté sprawił na nich takie wrażenie, jakie sprawiały na młodzieży dawnej daty jakiś frazes wymowny,

pannę Zapolską w wyobraźni, kochałbyś ją w rzeczywistości; to ostatnie, wierz mi, bezpieczniejsze jest, chociażby nawet wypadło nieszczęśliwie, bez wzajemnej sympatii, bez przyśrodków.

— Mylisz się, panie von Kramst, — odrzekł spokojnie Michaś — nawet w wyobraźni panna Zapolska nie stoi nigdy blisko mnie, przy mnie! Czem się to dzieje? nie wiem. Jam może pacholę jeszcze, dla którego nie wybiła godzina osobistych pragnień serca; obecnie cel, do którego dążę, cel stania się człowiekiem, wchłonął w siebie wszystkie me własne wewnętrzne, całą moją indywidualność. Do wyobraźni mojej po nic nie sięgam, w rozumowaniu pozytywnie zapatruję się na różne zdarzenia i na różnych ludzi; z praktyki nie z wyobraźni doszedłem do przekonania, że praca powinna być treścią naszego życia... Praca nigdy nie ginie marnie... jakakolwiek jest ona, przynosi użytek ludziom... praca człowiek staje się kimś w społeczeństwie... I nieraz, gdy nie mogę przewidzieć wyniku z sum prac ludzkich, przyglądam się działalności panny Zapolskiej. Panna Zapolska jest, niby w mikroskopie dyamentowa soczewka, przez nią widzi się to, czego gołym okiem dojrzeć nie można.

Włodzimierz uśmiechnął się złośliwie. Ta panna Zapolska gniewała go, mógł ją znienawidzić *cette précieuse ridicule!*

— Mało mnie obchodzi ten twój dyament, — odrzekł

jakaś zwrotka ognista, jakaś tyra- namiętna. Oni rozmy-
ślają nad tem: „Czy znacie” — ministra który zapoznał się
z woźnymi wprzód — mu się poczęli kłaniać woźni mi-
nisteryjni — zapłacić komornego, po kilku miesiącach piasto-
zapa- władzy, ustąpił jako człowiek bogaty?”

— Ha, ha! niech będzie co chce, ale to sprytna bestya
ten minister, skoro przez kilka miesięcy tyle nakradł! Kto
wie, jabym może tak samo zrobił!

— Ja bo wołałbym być sędzią. Robi się także interesa,
a jest się w większem poważaniu...

Potem zaczynają sobie opowiadać wielkie czyny swoich
krewniaków.

— Mój stryj już bokami robił; nie chciano już dyskon-
tować jego weksli i miał wielki kłopot ze złożeniem rachun-
ków z pewnej opieki; ale przyłożył rękę do uniewinnienia
Erlangera i ma teraz trzy miliony.

— Mój ojciec nie zarobił tyle na „Unii generalnej”.
Bleichröder i Rotszyldowie znali się wprawdzie na rzeczy,
ale cóż, kiedy ministrowie zabrali wszystko dla siebie...

— Otóż ja tego właśnie nie rozumiem, — przerwał
z szlachetnem oburzeniem jakiś młodzieniec, który będzie
prokuratorem jak Loew. — W takich interesach każdy po-
winien mieć swój udział!

— Według rangi?...

— Naturalnie.

I wszyscy, zatopieni w marzeniach o przyszłości, myślą
o olbrzymich brudach, o malwersacjach, o zdzierstwach,
jakich jeszcze nie widziano, i poczynają śpiewać chórem:

„Gdy starzyzna powymiera,
„Dla nas, dla nas karyera!”

KSIEGA TRZECIA.

Monopole.

Wielkie i małe lenna. — Panowanie Rotszyldów. — Pożyczki państwowe. —
Monopol i artykuły pierwszej potrzeby. — Handel zbożem — francuzki. —
Upadek rolnictwa. — Sprzedaże publiczne. — Kawiarnie. — Co się dzieje za-
granicą. — Zabór miedzi. — Typ żyda przemysłowca: Łazarz Weiller. —
Interpelacya p. Land. — Dostawy dla armii. — Ładunki mosiężne. — Wiel-
kie przykłady pozostawione przez starą monarchię. — Marillac i Secre-
tan. — Koniec handlu drobnego. — Wielkie magazyny. — Prawo sprawie-
dliwości. — Jak się zdobywa ordery. — Hachtowie i cenzura. — Historia
pewnego monopolu. — Deputowani z prawicy nie mają odwagi mówić. —
Co sprzedają na dworcach kolejowych. — „Zohar” i „Pierwsza kochan-
ka”. — Jegomość pan Luc i co o tem powiedzieli Evinquabre, Epaminon-
das, Dyogenes Laercyzus i inne znakomite osoby. — P. Blount i jego po-
szanowanie dla prawa francuzów. — Bilans monopolów. — Usiłowania
drobnych kupców w celu zaprowadzenia wśród siebie pewnej organiza-
cyi. — Dlaczego prasa nie może mówić. — Testament pani Boucicaut. —
Śmieszny posąg.

Wielka feudalność powstała kosztem posiadaczy ma-
łych feudów; wielka feudalność przemysłowa i finansowa
powstała również kosztem drobnej burżuazji. Ruch kon-
centracyjny odbywa się od lat kilku z tak przerażającą
szybkością, rozgniała tak nieubłagane wszystkich małych,
iż wolno spodziewać się, że odwet jest niedaleki.

wydymając pogardliwie usta — z uwagi jednak na ciebie,
radbym zblizka przypatrzeć się owej dyamentowej istocie.

A przybierając ton lekceważąco żartobliwy, dodał:

— Mimo twego *credo* co do pracy i zapewnienia, że ta pra-
ca wchłonęła w siebie wszystkie twe władze wewnętrzne,
jestem pewien, że nie włożyłeś w nią całkowitych swych
pragnień młodzieńczych. Ty kochasz pannę Zapolską, ko-
chasz ten dyament! obstaję przy swoim!... Bądźmyż ści-
ślejszymi w porównaniach naukowych! dajmy pannie Za-
polskiej nazwanie, stosowne do jej własności analogicznych!
Dyament nie różniłby się niczem od sadzy, którą kominarz
nosi na sobie, gdyby tę sadzę skryształizować się dało. Fi!
sadza i... panna Zapolska? nie, nie! Zwijmy ją bursztynową,
po grecku *elektron*, ztąd elektryczność, przyciąganie..

Włodzimierz wyrzucił wiele ze swej dziwnej natury,
zapomniał jednak wyrzucić z niej nerwów. W beczynnem
życiu, które wiódł od roku, nerwy rozwieliły się i trzę-
sły nim, jak histeryczną kobietą, jak anemicznem dzieckiem.
Z tą nerwowością swoją młody von Kramst popadał w ka-
pryśność, a wtedy mścił się po dziecinnemu, na przedmiocie,
który go doprowadzał do rozdrażnienia: rzecz rozbijał
w druzgi, zwierzę zabijał, nad człowiekiem znęcał się po
szatańsku.

Na czele tej feudalności, pozostawiającej daleko za
sobą wszelkie inne, najżarłoczniejsze i najokrutniejsze, figu-
rują Rotszyldzi.

„Historja rodziny Rotszyldów — pisze Mommsen — by-
łaby ciekawszą od historii wielu dynastij królewskich, a
„Archiwa izraelskie” puszą się cytując te wyrazy, które
uznają za bardzo trafne. Nie przecząc trafności tych słów
Mommsena, trzeba przyznać, że ta historia nie może być
napisana, dopóki nie nastąpi jej rozwiązanie. Nie tyle zresz-
tą idzie o napisanie historii, jak o wytoczenie procesu,
żeby zaś proces rozpocząć, trzeba by mieć wszystkie dokumen-
ta przed oczyma.

Historja czy proces, zawsze to ciekawa karta do za-
pełnienia dla tych, co przyjdą po nas. Nigdy nie było groź-
niejszej potęgi — a ta potęga nie opiera się na niczem; runie
ona jakby za dotknięciem różeczki czarnoksiężkiej w dniu,
w którym kilku śmiałych francuzów pójdzie na ulicę La-
fitte, i zaprowadzi książąt Izraela do Mazas; dzisiaj
rozkazuje ona despotycznie wszystkim przywódcom ludu,
posłuszni jej są ministrowie, a jutro, podobna do tych
fantasmagoryj, które znikają przy pierwszych blaskach
poranku, rozwieje się wobec kilku istot realnych, ze zdro-
wym rozsądkiem, które zajdą drogę widmu i zainterpe-
lują je wprost. Potęga dziwna, jeszcze raz, która jest
przerazającą, a która w gruncie rzeczy nie spoczywa na
żadnej podstawie, niema ciała, i na podobieństwo widm, po-
siada widoczne formy jedynie dzięki pewnej atmosferze idei
mętnych i fałszywych, którą prasa masońska i żydowska
wytwarza od wieku.

Świat widział dosyć rządów dziwnych i ciężkich
tyranij, ale nie widział nigdy nic podobnego do tego: ludów
rujnowanych, błogosławiących tych, którzy porobili olbrzy-
mie majątki kosztem milionów pracowników; królów świad-
czących honory finansistom, którzy pożarli naród, nad któ-
rym królowie ci czuwać mieli obowiązek.

W przeciągu kilku lat Rotszyldowie wycisnęli Au-
stryę jak cytrynę. Węgry, dzięki ich interwencji, ujrzały
dług swój dziesięć razy powiększony w niespełna dwunastu
latach. Dług węgierski w r. 1873 wynosił 221 milionów;
w r. 1885 było go już 1,461, a dziś przeszedł już 1,600 milio-
nów. I wobec takiego to rezultatu p. Tisza, kreatura ży-
dowska, oszczerca Francji, proponuje przyznanie krzesła
na dworze Albertowi Rotszyldowi i jego żonie, baronowej
Bettinie, w nagrodę zasług p. Rotszylda, położonych dla
rozwoju kredytu narodowego w Węgrzech.

W Austro-Węgrzech, przynajmniej, kilku deputowa-
nych protestuje; we Francji ani jeden deputowany, ani
z prawicy ani z lewicy, nie ma odwagi przypomnieć z try-
buny, że to Rotszyldom i ich lichwiarskim oparaczom za-
wdzięczamy okropne położenie finansowe, w którym się
znajdujemy.

Nie jestem ciekawy, ale wyznaję, że radbym pogadać
otwarcie z Rotszyldami, i zapytać ich się, jak oni też myślą
skończyć, bo przecież wszystko na tym świecie ma swój
koniec. Od kilku lat przechodzą oni rozmaite alternatywy;

I teraz taki rozkapryszony, szukał w swej myśli cze-
goś, czemby mógł, niby tygrysim pazurem, zadrapać tę...
tę kobietę sąsiadkę, do której nie miał przystępu.

— Ona... ona... — powtarzał głośno, ze złością.

— Panie von Kramst, — ozwał się nagle Michaś — od
czasu naszego spotkania się z panną Zapolską, nie mówisz
pan o niczem, tylko o niej.

Włodzimierz targnął się w obec czegoś, co go uchwyci-
ło pod żebro lewego boku; lecz wnet odzyskał równowagę
wewnętrzną i postawił się odpornie.

On nie mówił o niczem, tylko o tej parafrance pol-
skiej?... toby znaczyło, że o niczem nie myśli, tylko o niej?..
On wie jednak, że mowa służy także do pokrycia myśli ludz-
kiej; on też mówi o tej bursztynowej istocie... ale co chce
pokryć?... sam nie wie; wi- tylko wtej chwili, że jest nieza-
dowolony z siebie, z polaków, z sąsiadów, z sąsiadki, z przy-
bycia tu, Bóg wie gdzie i poco; niezadowolony z pustki swej
wewnętrznej i z tej swojej natury, w której nic niema, prócz
głuchej, sennej ciszy stepu. Niezadowolenie to dochodzić
w nim poczęło do paroksyzmu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

była chwila, że poczynali drzeć o siebie, ale ich uspokoiła łatwość z jaką zdołali pozyskać neutralność ze strony kilku przywódców stronnictwa robotniczego. W tej chwili są oni w apoteozie i zajmują się przerobieniem pałacu przy ulicy Lafitte, w którym zmarł baron James, w „Dom pamiętkowy“, na podobieństwo domu frankfurckiego. Będzie to patron tej dynastii; będą się doń odbywały pielgrzymki i t. d.

Mimo tego wszystkiego, Rotszyldowie najbardziej boją się Francji, chociaż stronnictwo antysemickie nie jest tam jeszcze tak dokładnie zorganizowane jak w Niemczech i Rumunii. Gdy stracą Francję, stracą wszystko, stracą dźwignię, pole działania.

Oni przez Francję rządzą światem, nasze to złoto zdrenowane przez nich, pozwala im otrzymywać od rządów które nie wiedzą jeszcze co wart żyd, fawory dla swych współwyznawców, a mniej więcej jawne prześladowanie Kościoła. Finanse włoskie są improwizacją Rotszyldów.

Pewnego razu hr. de Brada, jadąc w jednym wagonie kolejowym z Rotszyldem frankfurckim, zapytał się go, dla czego dom ich z taką energią podtrzymuje kredyt włoski, który na niczem się nie opiera?

— To jest nasz sposób dokuczenia księżom — odparł baron.

Rotszyldowie, dzięki swojej zręczności, zdołali skłonić Francję, żeby krajowi, który nas nie cierpi, który najgrywa się z nas nikczemnie, który nie ukrywa się z zamiarem uderzenia na nas z tyłu, gdy się zapłaczymy w wojnę z Niemcami, dostarczyła środków zapłacenia ogromnych uzbrojeń i stworzenia floty wyższej od naszej.

Dzięki Rotszyldom renta włoska umieszczona została prawie wyłącznie we Francji. Anglia i Niemcy, które podpisują się z sympatią dla Włoch, nie mają w nich zaufania pod względem finansowym.

A ten obrzydły poliszynel Crispi jeździ do Berlina po hasło przeciwko nam!

W przeciągu kilku lat nagromadziło się u nas za 3 miliardy 450 tysięcy franków renty włoskiej! W Paryżu, w jednym dniu, sprzedaje się więcej renty włoskiej, aniżeli przez cały tydzień na wszystkich rynkach europejskich.

Te pieniądze dobrowolnie dostarczone przez nas Włochom, proszę to zapamiętać, w razie wojny zostaną dla nas zupełnie stracone. Włochy, które nie są w stanie podołać ogromnemu długowi, jaki zaciągnęły aby móż odegrać rolę wśród wielkich mocarstw, zbankrutują bez ceremonii.

Zresztą wielką potęgę Rotszyldów stanowi niesłychana pogarda jaką żywią dla nas. Ażeby pozyskać jeden krzyż więcej albo uścisk ręki jakiegobądź monarchy, gotowi są puścić w obieg najnieprawdopodobniejsze pożyczki.

Trzeba było osobnej ustawy, żeby upoważnić stowarzyszenie kanału Panamskiego do wypuszczenia obligacji losowych; tymczasem Rotszyldowie swoją własną prywatną powagą zmusili agentów giełdowych paryskich, do notowania na giełdzie losów Congo.

„Latarnia“ której nie można bardzo podejrzewać o antysemityzm, opowiada, że to Lambert z Brukseli, któremu król belgijski powierzył ubicie tego interesu, przyjechał umyślnie do Paryża, i że agenci giełdowi, zrazu usiłujący stawiać opór, zmuszeni zostali w końcu kapitulować wobec formalnej woli baronów z ulicy Lafitte.

Na posiedzeniu 17 lipca 1888, p. Lucyan de la Ferrière, zapytywał o to rządu, i lubo naturalnie nie śmiał napiętnować Rotszyldów, powiedział dużo rzeczy dość trafnych o tym skandalu.

Aptekarz Peytral odpowiedział, że istnieje zobowiązanie zaciągnięte przez gabinet poprzedni, ale nie wymienił ministra który zaciągnął to zobowiązanie, nie mając do tego prawa, i nie wymienił sumy, jaką wziął za popełnienie tego bezprawia; nie wytłumaczył mianowicie, jak śmiał zaciągać podobne zobowiązanie, nie poradzwszy się izby.

P. de la Ferrière począł nalegać, ale członkowie lewicy, między których agent giełdowy Rotszyldów, według zwyczaju, rozdał małą jałmużnę, jaką rozdają przy każdym interesie, w obawie aby prawda nie wyszła na wierzch, zaczęli hałasować i zagłuszyli dyskusję.

Król belgijski zaprosił Lamberta na obiad a „gogowie“ francuzcy zapłacą.

Nie zdaje mi się rzeczą potrzebną rozpatrywać się bliżej w mechanizmie tych wszystkich operacji finansowych; szczegóły ich znaleźć można w ostatniej książce Chiraca: „Ażyoterstwo za trzeciej Rzeczypospolitej“, a w gruncie rzeczy mało bardzo osób interesuje się temi objaśnieniami, które przecież są bardzo pouczające. Anemiczne mózgi dzisiejsze nie są w stanie zdobyć się na wysiłek, ja-

kiego trzeba do zbadania tych cyfr. Niema rady! my musimy być obdarci przez żydów — i basta!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PAN PUŁKOWNIK W DERKAŁACH.

przez
Wincentego hr. Łosia.

(Dalszy ciąg.)

Potakiwałem głową, a dziadek dalej mówił.

— Ale wiesz co? pytają mnie się na kiedy odłożyć; powiedziałem że na tydzień!

— A gdyby za tydzień Garibaldi?...

— Co? — przerwał mi pułkownik, przerażony — przecież za tydzień chyba się dowiemy, czy Garibaldi wyładował, czy nie.

— Radziłbym dwa tygodnie, dziesięć dni..

— Dziesięć dni! — westchnął pułkownik, zamyślił się i dodał — to jeszcze pomówię z Kurskim i odłożę...

— Ślub?

— Nie, akta i kontrakta; bo Kurski chce i interczy ślubnej; to porządny człowiek...

Podczas naszej rozmowy, obserwowałem zachowanie się reszty towarzystwa w obu pokojach. Panna Olimpia, zaraz po podwieczorku, wzięła na bok ojca i coś z nim długo szeptała, podczas gdy Poltański z rejentem także mieli sobie sekreta do powierzenia.

Pan Poltański nadto zerkał wciąż na mnie tak oryginalnie, iż widocznem było że pragnął ze mną pomówić. Gdy mnie więc pułkownik zwolnił, podszedłem do pana Poltańskiego, który w tej chwili znacznie głośniejszym ukończył rozmowę z rejentem i mile się do mnie uśmiechnął.

— Pan dobrodziej — zapytałem — sąsiad pana Kurskiego?

— Tak... niby... nie. Ja mam majątki i tu i w Zamojskiem... Tu... i mam także folwarczki w Sandomierskiem.

— Więc pan raz tu, raz tam, tak niby?

Pan Poltański obejrzał się dokoła, a widząc że nikt blisko się nie znajduje, bo i panią Kurską zajął adjutant, uśmiechnął się bardzo dowcipnie i, zniżając głos, tak zaczął.

— Widzi hrabia — sprowadzono mnie tutaj — ja Kurskiego znam od dawna — na świadka przy kontrakcie z pułkownikiem.

Udałem największe zdziwienie.

— Przy kontrakcie? — zapytałem.

— Więc hrabia nic nie wiesz? — podchwycił z widocznym zadowoleniem pan Poltański, i mówił dalej: — Ja mieszkałem dawniej niedaleko stąd, teraz się wyniosłem w Zamojskie; znałem bardzo dobrze hrabiego Marcellego i Anastazego... zaci ludzie. Mam dużo, bardzo dużo przyjaźni dla całej rodziny hrabiego. Dlatego też to małżeństwo i te kontrakta pułkownika... Dziwię się, że rodzina pozwala!

Spojrzał na mnie, a ja w duszy pomyślałem, że sprytnym jest Kurski, lecz sprytniejszym jeszcze Poltański.

— Cóż robić! — westchnąłem — przecież dzieci pułkownik mieć nie będzie.

— A więc hrabia nie wie? — zawołał stłumionym głosem Poltański, a radość malowała się w jego przerażonym tonie.

Nachylił się do mnie i wyszeptał cicho, z miną przytem tak przerażoną, jakby ta rzecz jego najwięcej dotyczyła.

— Pułkownik daje na szpilki i zapewnia na Derkałach dwakroć sto tysięcy.

— Złotych? — wybełkotałem przerażony.

— Złotych! — odparł przyjaciel Kurskiego — a prócz tego, wypuszcza w dzierżawę Kurskiemu Derkały, jako dożywocie żony.

Poltański się zapalił i dodał.

— No, poprostu oddaje wszystko!

Zastraszony tą zupełnie niespodziewaną wiadomością zapisu i dożywocia, zadrżałem na całym ciele.

— Jeżeli tak — pomyślałem — to Derkały przepadłyby na wieki wieków! — Bałem się tylko, aby całego ogromu mego pomieszczenia nie zmiarkował pan Poltański, co do którego nie wiedziałem jak o nim sądzić.

— Hm... — zamruczałem, udając lekkie zdziwienie.

— Na to pozwolić nie można! — ciągnął dalej Poltański — ja jestem dobry szlachcic... Poltański herbu Lubicz... wzbogacać takiego... ekonoma! hrabio! cóż to? ruina! ruina! Cieszę się, że hrabiemu to powiedziałem, bo pułkownik ani by słyszeć nie chciał. Zawrócili mu zupełnie głowę! Kochliwy też stryj hrabiego! ha, ha! to prawdziwe nieszczęście!

Wtem wszedł Kurski i tak badawcze rzucił wejrzenie na Poltańskiego, iż nie ulegało wątpliwości, że jego nieograniczonej przyjaźni dla Kurskich niezupełnie dowierzał.

Ja zaś, aby umotywić straszne wrażenie, które na mej twarzy odbiło się musiało, zwołałem do gospodarza.

— Okropne rzeczy, o waszych stosunkach ekonomicznych opowiada mi tu pan Poltański.

Fizyognomia Kurskiego nieco się wypogodziła; bystro spojrzawszy w oczy mnie, to znów Poltańskiemu i odparł.

— A tak... smutne stosunki!

Obróciłem się do Poltańskiego i zagadnąłem.

— Niechże szanowny pan mi dokończy o tym lichwiarzu, bo to...

Kurski nie był już ciekawym, oddalił się i wniósł w rozmowę adjutanta z rejentem, która także wydawała mu się podejrzaną, bo była prowadzoną cicho.

Dowiedziawszy się od pana Poltańskiego reszty szczegółów małżeństwa i kontraktów pułkownika, uczułem dziką chęć opuszczenia tego domu, w którym taką beczelną zasadzkę przygotowano na niego, a właściwie na mnie, bo dziadek miał lat siedemdziesiąt, a ja byłem jedynakiem jego jedynego spadkobiercy.

Przedstawiało się to teraz w czarnych kolorach. Gdyby nie Garibaldi, kontrakt w tej właśnie chwili może już byłby podpisany i Derkały na wieki byłyby przepadły.

Udając przed Poltańskim zdziwienie raczej, niżli trwogę, w jakiej się znajdowałem, dodałem cicho.

— Ale panna Kurska dziwnie ładna panna!

Poltański przypatrzył mi się z niewypowiedzianym wyrazem.

— Tak hrabia znajdujesz? — zapytał.

— A! bardzo ładna! taka hoża! bardzo! — dodałem i powoli, razem z nim, przeszedłem do salonu, gdzie pułkownik rozmawiał z panną Olimpią. A ta była w tak ożywionych kolorach, jak rzadko; — twarz jej pałała.

Gdy mnie zobaczyła, poczerwieniała jeszcze bardziej, i zauważyłem jak dawała matce jakieś zaledwie dostrzegalne znaki, które zrozumiałem dopiero, gdy nagle pani Kurska usiadła po drugiej stronie pułkownika i pokilkakrotnie zaczęła go zagadywać.

Dziadek, wielki dla dam *galant*, obrócił się wreszcie do niej, a panna Olimpia skorzystała z tego, aby powstać i udać się do fortepianu, gdzie zaczęła przeglądać nuty.

Zbliżyłem się do niej.

— Pani dzisiaj wygląda tak ożywioną...

-- Tak pan sądzi?

— Bardzo pani te kolory do twarzy.

— Przepraszam!

Uśmiechnąłem się i dalej, po kilku komplementach, zagadnąłem, ze smutnym na twarzy wyrazem.

— Gdy pomyślę, że za kilka tygodni będę pani mówił: „stryjenko“!...

Panna Kurska zrobiła niezadowoloną minę, a równocześnie powstał ruch w pokojach, jak gdyby pułkownik zbierał się do opuszczenia Wybranówki.

Panna Olimpia czempredziej dorzuciła.

— To od pana zależy.

— Odemnie?

— Tak... bo... gdyby... jeżeli to prawda, co pan mówi...?

— A! ale przecież Derkały należą do stryja!

Panna Kurska zbliżyła się do mnie i szepnęła.

— Sądzę, że to dałoby się zrobić... pułkownik bardzo mnie kocha... i słucha oja.

— Pomyśl pani!

— Niech i pan pomyśli!

— Ach! pani!

Wtem stanął za nami pułkownik.

— No, kawalerze! — zagadnął — nie bałamuć mi narzeczonej! pojedziemy zaraz, tylko jeszcze słówko powiem panu Kurskiemu.

Gospodarz był już przy nim i coś poszeptali.

Wszyscy już znajdowali się w salonie, a adjutant, któremu zawsze było pilno, zaczynał się żegnać.

Pani Kurska stanęła wpośrodku pokoju i znowu, kłaniając się górną połową kadłuba, wołała.

— Ależ, panowie! tak wcześnie! Mężu, nie puszczajże pułkownika!... Proszę zostać na kolacyi! Pan pułkownik też na nas nie łaskaw... zawsze tak rychło! Mężu! zatrzymajże hrabiów na kolacyi!

— Nie możemy! nie! — mruczał, żegnając się, pułkownik — kasztelanowa czeka... nie możemy!

Nastąpiło długie pożegnanie, powtarzane to w salonie, to w sali jadalnej, trzecie w przedpokoju, a czwarte jeszcze z panami, na ganku.

Wreszcie ruszyliśmy, a dziadek zaraz zaczął.

— Wiesz co? hm... hm... Kurski przed kawą chciał przyspieszać, a po kawie...

— Co po kawie?

— Po kawie... jakby nie, zgadzał się na to *moratorium*... hm... no! ja nie mogłem w tych dniach. Garibaldi...

— Garibaldi! — wtrącił adjutant — mówił mi rejent, że już czytał jego odezwę do Włochów.

— Czyż być może?

— I ja słyszałem — wtrąciłem — mówił mi Poltański, że czytał w miasteczku odezwę wzywającą do... pospolitego ruszenia.

— Wojna! hm... jak cię kocham! bardzo dobrze kochanie poradziłeś. Bo gdybym tak podpisał akta... potem nagle wyjechał do Italii... a Olimpię mi kto przez ten czas zbałamuć!

Adjutant trącił mnie w nogę, a dziadek dalej mówił, jakby już sam do siebie.

— Dziś nie była w humorze... nudzi ją to *moratorium*... ekskuzowałem się i wszystko spędziłem na ciebie i na kasztelanową... pilno jej do ołtarza... nie była w sosie...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA POSTERUNKU.

Opozycya panów liberałów żydowskich lub zżydźlanych — przeciw wszystkiemu cokolwiek szanują chrześciance. — Dlaczego wyrzucają nam ci panowie „tradycję święconego obżarstwa“ i co ona im szkodzi? — Słowo o swawoli bezwyznaniowej w czasie odwiedzania grobu Chrystusa. — Meja rozmowa ze znajomym. — Czego oni tam chcą? — Przepisy o zachowywaniu się w kościele i co na ich zasadzie mogłaby czynić służba kościelna. — Uzupełnienie mojej opowieści o pewnym starozakonnym dyrektorsie pewnej fabryki założonej przez pewnego magnata. — Prośba do niejakiego pana Surowicza.

Tym naszym liberałom żydowskim szkodzi widocznie wszystko cokolwiek, czy to z zasady, czy też ze zwyczaju, szanują i przechowują wśród siebie chrześciance. Gdy w dzień Zaduszny dążymy na groby ukochanych z serdecznym zalem w piersiach i z modlitwą na ustach, „wolnomyślni“ szydzą z „nawnej pielgrzymki tłumów“; gdy odwiedzamy miejsca święte i cudami słynące, oni drwiąc znowu z „fanatyzmu wsteczników“ płaczą nad zmarnowanym czasem i wyrzuconemi na ten cel pieniędzmi. Gdy nadchodzi dzień wielki i święty dla całego świata chrześcijańskiego, — Narodzenia Chrystusa — „wolnomyślni“ śmieją się także z „bezmąsnej krzątaczki gwiazdkowej“, a gdy się zbliża chwila również wielka i święta — Zmartwychwstania Pańskiego — oni, wysoce postępowi, to znaczy widzący najwyższy ideał szczęścia w życiu dla... użycia, drwiąc znowu, wyrzucają nam „tradycję święconego — obżarstwa“.

Co prawda to z tej zawziętej opozycji panów żydowskich lub też zżydźlanych postępowców wielkiego nieszczęścia być nie może. Nie takie to już gromy padały na owe różne „przestarzałe przesady“ i ich przedstawicieli, a jednak „wstecznicstwo“ to przetrwało wszystko, trwa i trwać będzie dopóty, dopóki ludziska, czując w duszy nieśmiertelne uczucie wiary i związanych z nią obrządków lub zwyczajów — woleli będą, z tem swoim zacofaniem, zaliczać się do ludzi, aniżeli do... czworonogów.

Nie zaszkodzić nic tedy i miotania się naszych żydowskich liberałów na nasze „wielkanocno-poświęcane (!) obżarstwo“, chociaż dziwnem wydawać się to musi, że ci panowie nawskroś pozytywni, zdradzają i w tym razie brak wszelkiej logiki pozytywnej. Gdy bankiery żydowskie dopuszczają się „obżarstwa“ codziennie, spożywając „frykasów“ i „delikatesów“ zagranicznych za krocie, wolnomyślni reformatorowie nie mają dla nich słowa przygany; ale gdy ludzie średniej, lub mniej niż średniej zamożności, czyniąc zadość tradycyjnemu zwyczajowi, zastawiają raz do roku święcone, by je spożyć, wraz z rodziną i najbliższymi, przy jednym wspólnym stole, — wówczas to dopiero panowie liberalni piorunują na zbytki. obliczając, co nas to ta „bezmąsna tradycja“ kosztuje i ileby to ludzi biednych nakarmić się mogło!

I niechby sobie tam na różne te „przestępy“ nasze wrzeszczeni, byleby nie posuwali się w tym kierunku — to jest w kierunku szerzenia swych bezceństw bezwyznaniowych — do propagandy czynnej. A i ten właśnie objaw postępowy zauważyć się daje — zwłaszcza też w zżydźlonej na sposób także... postępowy Warszawie i zwłaszcza w ostatnich dniach Wielkiego tygodnia przy odwiedzaniu grobu Zbawiciela. Obok tysięcy spieszących do świątyni Pańskich, — spieszących tam z odbijającą się na twarzach myślą o tej wielkiej Pamiątce i o Tym co odkupując krew swoją świat, dał się ukrzyżować za Prawdę, — widzisz już teraz, coraz większe

gromadki, włączając się od kościoła do kościoła i przestępując jego progi z cyniczną drwiną na ustach, a nawet z rzucaniem bardzo głośno szyderstwem. Te gromadki wesole i dowcipkujące, o rysach wschodnich i o charakterystycznych nosach garbatych, to młodzi, przeważnie, żydowie i żydówki ucylizowane, polacy i polki „mojżeszowe“, a oprowadzający je, z temże samem usposobieniem przewodnicy — bo są już i tak spodleni — to nasi polackowie zżydziali, czyli... zasymilowani...

— Czego oni tu chcą? — zapytuje mnie przy wyjściu z kościoła jeden z moich znajomych.

— Czego oni tu chcą? — odrzekłem powtarzając pytanie. Oni chcą tu tego samego, czego chcą wszędzie: w literaturze, w dziennikarstwie, w sztuce i we wszystkich czynnikach duchowego życia społeczeństwa: chcą szczepić zgorzelenie, szczepić wśród „goimów“ zgniliznę i gangrenę moralną, aby ich później — zgnitych i zdemoralizowanych — mogli łatwiej uczynić niewolnikami i sługami swych celów, czyli, wyrażając się językiem postępowym, aby ich mogli łatwiej — zasymilować...

— Na Boga! — pyta mój interlokutor — ale jakaż może być rada, aby przynajmniej świątynie nasze od ich obecności, od ich wpływu uchronić?

— Rada może być tylko jedna. Z literatury, ze sztuki i t. d. wyrzucić ich trudno; ponieważ jednak co do zachowywania się w kościele istnieją wyraźne i wyraźnie obowiązujące przepisy, przeto czego nie można zrobić z nimi w prasie, w sztuce, literaturze i t. d. mogłaby tu zrobić służba kościelna. Mianowicie każdego, ktokolwiek, nie szanując miejsca, postępuje wbrew wspomnianym przepisom, to jest: każdego kto w kościele zachowuje się w sposób niewłaściwy, nieprzyzwoity i gorszący innych, brać za kołnierza i wyprasać, mówiąc krótko, za drzwi.

Znajomy mój — a i wy zapewne Czytelnicy uczynicie to samo — przyznał iż w istocie, byłby to najskuteczniejszy — acz niezbyt miły środek — na poskromienie owej nowej i rozpowszechniającej się widocznie swawoli żydowsko-liberalnej i bezwyznaniowej, chociaż przyznaję, że bywają wypadki w których wyrzucanie nie wychodzi wyrzucającym na dobre.

Sprawdziło się to na pewnej a raczej w pewnej fabryce założonej przed kilkoma laty w Warszawie przez pewnego magnata. I o fabryce tej, i o jej założycielu, i o jej dyrektorze starozakonnym, pochodzącym z Nalewek, opowiadałem już — w formie przykładu — w jednej z poprzednich pogawędek moich. Magnat ufając żydowi, pozwalał mu na wszystko, a żydek nie tylko zaprowadził w fabryce gospodarkę specjalnie żydowską, ale nadto uznał za właściwe pousuwać fachowo uzdolnionych polaków, a na ich miejsce posprowadzać Niemców albo Żydów. Opowiadałem, powtarzam, już raz o tem; obecnie więc chciałbym tylko zaznaczyć konsekwencje owej zamiany żywiołu polskiego na niemiecki lub starozakonnny. Otóż o zamianie tej, o owem usunięciu polaków z fabryki magnata polskiego, dowiedział się zarząd wielkiej, w tym rodzaju, fabryki założonej w Rydze z kapitałem podobno aż dwóch milionów rubli — i przyszedł zaraz do następującej kombinacji: Tutejsza nasza, to jest rygska fabryka, a właściwie pewien jej oddział ma być już wkrótce puszczonym w ruch. Że jednak oddział ten został urządzonym przez Niemców, według starego systemu niemieckiego, a fabryka w Warszawie urządzona jest według najnowszej, o wiele ulepszonej konstrukcji angielskiej, przeto trzeba nam sprowadzić owych, z fabryki warszawskiej usuniętych fachowców, którzy pracowali tam po lat 8 i 9, a odniesiemy łatwo następujące korzyści: 1) pozbawieni miejsca pracownicy fabryki warszawskiej będą nas kosztowali mniej, aniżeli — sprowadzeni z Meinigeny — Niemcy; 2) fachowcy ci, to jest warszawscy, obeznani z najnowszym systemem fabrykacji odkryją i nam, jako instruktorowie, tenże system — i 3) wytworzymy przez to konkurencję fabryce warszawskiej na wszystkich rynkach Cesarstwa, na które liczyła ona i liczy dotąd głównie.

Taką kombinację zrobił sobie zarząd fabryki rygskiej i, nie namyślając się długo, sprowadził już z Warszawy, wraz z rodzinami, pięciu pracowników usuniętych przez pana dyrektora starozakonnego. Jakkolwiek przeto tenże „pan dyrektor“ ma zwyczaj odzywać się głośno, iż jego but jest mądrzejszy niż cały kraj tutejszy, to jednakże w tym razie nie dowiódł on zbyt wielkiej mądrości ani swojego buta, ani nawet swej głowy. Z racji bowiem owego usunięcia owych „głupich polaków“, może się wytworzyć taka, wielce prawdopodobna perspektywa: 1) fabryka rygska, urządzona według systemu fabryki warszawskiej, może dla tej ostatniej stać się bardzo poważną współzawodniczką i odebrać jej bodaj czy nie najgłówniejsze pole zbytu; 2) magnat, ufający

tak dziwnie i nieograniczenie żydowi, może stracić 400,000 rubli wyłożonych na pobudowanie, urządzenie i t. d. fabryki; 3) około 200 robotników i robotnic zwyczajnych, pracujących w tejże fabryce, może się znaleźć bez zajęcia.

Takie bywają u nas owoce gospodarki żydowskiej, bez względu na to gdzie ona się przejawia: na polu finansowem, w handlu, rzemiosłach, czy w przemyśle! Tylko — na litość — niechajże tego co tu piszę, nie bierze znów do siebie także starozakonnny „dyrektor“ fabryki hr. K., niejaki p. Surowicz, jak już wziął raz pierwszą moją opowieść. Niechże pan S... nie zaprzęta sobie mem opowiadaniem głowy i niech nie robi sobie znowu kosztów na wręczanie nam swych „wezwań“ i „odpowiedzi“ rejentalnych, gdyż nie o nim tu przecie i nie o jego „dyrektorstwie“ jest mowa. To tylko „jeden więcej skandal“ — jak twierdziła pierwsza odpowiedź p. Surowicza — i jedna więcej „lekkomyślność“ popełniona przez „Rolę“. Wszak tak, panie Surowicz?

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Jubileusz wolapikistów. — Poezya wolapikistowska. — Kołowaczna na punkcie języka międzynarodowego. — Raut międzynarodowy w Wiedniu. — Przedstawiciel „Kuryera Warszawskiego“. — Jego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. — Książę Hieronim Bonaparte. — Nauczyciele wojskowi Hohenzollernów. — Chevreul i Ulbach. — Bezrobocie tramwajarzy w Wiedniu. — Boulanger w Anglii. — W Serbii. — Wieści o królu Milanie. — W Rumunii.

Jak dalece głupstwo ludzkie ma twarde życie, dowodem tego dziesiąta już rocznica istnienia cudaka zwanego *wolapikiem*, którą jego zwolennicy uroczystie w Wiedniu święcili. Naturalnie prezydował na zgromadzeniu wynalazca tego potwora niby-międzynarodowego; gospodarzem był, niestety! profesor Ryłski... inni przemawiali prozą i wierszem wolapickim; a jaki to wiersz!... to proszę siadać. Na próbkę muszę przytoczyć parę zwrotek piosenki, którą jedna z wolapikistek śpiewała na uczczenie wielkiego jubileuszu.

Sie bim budił śiedom
Kantel lejłno
Budił votik ślielom,
De bimalam śdonflitom
Nitol oki oifo.

A tel kanitom gudikum
Lesi, bim bam,
Levo, bam bum,
Kantom gudikum.

Prawda, jakie to ładne!... Co tu wdzięku! co harmonii! słowem wszystko dobrze, — tylko to złe, że jedynymi wyrazami rzeczywistymi międzynarodowemi są tutaj: *bim bam i bam bum*, a tych, niestety! Schleyer nie wynalazł!...

Żarty na bok, ale dalibóg mrowie człowieka przechodzi na samo wspomnienie tej kołowaczny, która tyle głów ogarnęła. Przypuścić chyba trzeba, że ta ziemia z czasem, i to bardzo rychło, zamieni się w jeden szpital waryatów, i że świat skończy się wtedy, gdy ostatni doktor i ostatni stróż tego szpitala zwaryuje...

— Zagalopowałeś się wase, — powiecie — przesada kromikarska, panie dobrodzieju!

Przepraszam, ani ja się zagalopowałem, ani to nie jest przesada. Proszę zważyć, że między wolapikistami jest wielu profesorów, i że są zakłady naukowe, które takich ewiergłówków (półgłówek) ich nazwać byłoby dla nich za wiele honoru) cierpią na posadach profesorów... Cóż to za pokolenie wyjdzie z pod mistrzów takich!...

Po języku międzynarodowym, należy się oczywiście pierwszeństwo „rautowi międzynarodowemu“ który odbył się w Wiedniu w klubie prasy zagranicznej. O tym raucie nie wspominałbym, bo był do innych rautów podobny jak brat rodzony, gdyby nie jego gospodarz, prezes klubu, sekretarz (jeżeli się nie mylię *Länderbanku*) a przedstawiciel „Kuryera Warszawskiego“, („Kuryer Warszawski“, jak różni inni wielcy tego świata, ma swoich przedstawicieli we wszystkich stolicach, poczynawszy od Wiednia aż do Honolulu), pan Alfred Sz... Tego „przedstawiciela“ znaleźmy w Krakowie, jako ultra-pozytywistę i ultra-demagoga, który samem spojrzeniem swoim zjadał idealistów i arystokratów. No, i o ile wiemy, wytrwał po dzień bezmała w swoich zasadach: że jest pozytywistą, dowiódł pozyskaniem korzystnej posady w *Länderbanku*; zaś w demagogii zmienił tylko jedną, jedyną literę: *g* na *l*, i zamiast demagogii praktykuje demagogią, to jest goli *demos*, czyli lud, na rzecz arystokracji usadowionej w pompatycznym z tytułu „Banku krajów koronnych“; a „golony“ *demos* nie przestaje go uważać za swego przedstawiciela i chlubić się nim narówni z „Kuryerem Warszawskim“. Dotąd pan Sz... cierpi jeszcze

na sobie ten charakter „przedstawicielski“, ale niechno zostanie *Ekscelencyą*, zobaczycie jak da szcztka w nos *demosowi*, a bardzo być może, że i „Kuryerowi Warszawskiemu“ nie oszczędzi tego despektu... *Qui scit?... Sic itur ad astra!*

Do księcia Hieronima Bonapartego, zwanego dawniej zwykle „Księciem Napoleonem“ albo „Plonplon'em“, przywiązaniem jest widocznie jakieś dziwne szczęście... tonął bowiem w krótkim przeciągu czasu dwukrotnie w morzu, a jednak utonąć nie mógł. W sławnym rozbiciu się „Hrabiny Flandryi“, był jednym z pięciu podróżnych, którzy sami jedni z całej załogi zostali uratowani, a w jakiś czas potem znajdował się znów na statku pocztowym „Księżniczce Józefinie“, który między Douvrem i Ostendą zetknął się z łodzią rybacką norweską. I to spotkanie nie pociągnęło za sobą dla księcia żadnych złych następstw, a doprawdy, Francja byłaby chyba łatwiej przeboleła zgon tego Napoleonydzi aniżeli śmierć starego Chevreula, który umarł w dniu 9 b. m. mając lat 102, miesięcy 7 i dni 9. Zasługi jego na polu chemii są powszechnie znane a odnośnie do praktycznych w przemyśle zastosowań szczególnej wagi miały jego badania tłuszczów zwierzęcych i barw. Towarzystwo paryżskie zachęty przemysłu krajowego w r. 1852 przyznało mu nagrodę w ilości 12.000 fr. Cała Francja знаła tego uczonego i pracowitego starca i czciła go niby świętość narodową. W ostatnich latach ze wszystkich stron kraju kazano sobie przysyłać buletyny o stanie jego zdrowia. Do ostatniej niemal chwili zachował wszystkie władze duszy i bystrość umysłu i dopiero na kilka godzin przed śmiercią przytomność go opuściła.

Rzecz kilkanaście dniami stracił Paryż również pracowitego choć o wiele młodszego pisarza, Ludwika Ulbacha, który miał dopiero lat 67. Był to poeta, powieściopisarz, dziennikarz, nietyłem może zdolny, ile, jak już powiedziałem, pracowity. Powołał do życia kilka dzienników: „Revue de Paris“, „Temps“, „La Cloche“, skończył na bibliotekarstwie w arsenale i na sekretarstwie (jeżeli się nie mylę) w międzynarodowym Stowarzyszeniu literackim, którego rozwojem gorąco się interesował. Nazwisko brzmiące po niemiecku, nie odejmowało mu charakteru dobrego francuza.

A do niektórych nazwisk przywiązane jest jakby jakieś fatum, które się na nich z pokolenia w pokolenie spełnia. Tak np. Hohenzollernowie nie mają szczęścia do swoich nauczycieli wojskowych. Obecnie dwóch takich jegomościów, kapitan pruski Sidney O'Danne, nauczyciel wojskowy dzisiejszego cesarza, i feldfel Hauck, nauczyciel dzisiejszego następcy tronu, siedzą w więzieniu; pierwszy za oszustwa skazany na półpięta roku, drugi został aresztowany nagle przed frontem kompanii, i skazany na rok i trzy miesiące fortecy, trzy tygodnie aresztu i na degradację na prostego żołnierza, niewiadomo zupełnie za co, gdyż sąd wojskowy milczy uparcie o rodzaju jego przestępstwa.

Naród tramwajowy w Wiedniu śnać czupurny jest wielce. Woznice tamtejszego zarządu tramwajów, niezadowoleni z warunków w jakich obecnie zostali postawieni, urządzili na same święta Wielkanocne bezrobocie. Pozostali na swoich stanowiskach tylko ci, co już służyli przez lat dziesięć i ztąd mają prawa do pewnej emerytury; do tych zarząd donajął nowych wozniców, ale ludek wiedeński ujął się za swymi przyjaciółmi furmanami, i świeżo zrekrutowanych przyjął takim gradem kamieni, że większa ich część salwowała się ucieczką. Dość, że tramwaje, które zwykle w ciągu świąt zarabiają po 38.000 złr., tego roku zaledwie 3.000 zarobiły. Na ulicach przyszło do krwawych bójek między rozdrażnioną publicznością a policją i wojskiem, po obu stronach było wielu rannych. Nie pierwsze to bezrobocie tramwajarzy wiedeńskich, a zanotowania godna rzecz, iż powtarza się ono za każdym razem, ilekroć żyd wejdzie do zarządu. I tym razem tak było.

Boulanger wyjechał z Brukselli, udając się do Londynu, gdzie go „tłumy ludu powitały z zapalem“; a ponieważ ztamtąd trudniej mu będzie kierować agitacją, więc na Francję zamianował zastępcą swoim deputowanego Vachera.

W Serbii, po odejściu króla Milana, dziwnie nastrają się stosunki. Liberalna regencya z radykalnym gabinetem biorą się za czuby; królowa Natalia ma wrócić do kraju i zarządzić rewizję swego procesu rozwodowego z Milanem, a z nią ma wrócić i metropolita Michał, który ma być podniesiony na godność patriarchy kościoła serbskiego. O królu Milanie chodziła wieść że na wiadomość o tem co się dzieje w Belgradzie, zamierza przerwać podróż swoją na Wschód i powrócić do domu; później zaprzeczono tej pogłosce, ale za to opowiadają znów o nim, że postanowił zostać mnichem na górze Athos, aby potem objąć patriarchat serbski.

W Rumunii także nie wesoło; nowy gabinet rozpadł

się już na dwie części: po jednej stronie Lahovary i generał Manu, po drugiej Cartargiu i Vernescu. Niedarmo widocznie już przy narodzinach tego dziecka wrócono, że ono długo nie pożyje.

E. Jerzyna.

JUDAICA.

Rabbi Bloch, Herkules Izraela.

Wiedeń w Kwietniu.

Kto jest ten Rabbi Bloch?—zapytają czytelnicy „Roli“. Otóż objaśniam: Rabbi Bloch jest nadzwyczaj ciekawą osobistością, rodzajem filozofa-samotnika rozmyślającego nad naprawą świata, a raczej rodzajem żydowskiego Herkulesa, co wypowiedział hydrze lernejskiej walkę na śmierć i życie, hydrze o siedmiu łbach. A ile razy zetnie jeden łeb, wnet na jego miejscu wyrasta dwa, tak że Rabbi Bloch pracuje i pracuje z niewypowiedzianą gorliwością, a hydra lernejska nie znika, przeciwnie, rośnie i rośnie ustawicznie, i dzisiaj nie siedm już, ale siedmdziesiąt siedm łbów posiada.

Rabbi Bloch jest istotnie rabinem z Kołomyi, wybranym przez to miasto — *proh pudor* — posłem do wiedeńskiej rady państwa. Nie powraca on jednak do Galicji, ale osiadł pod Wiedniem, w miasteczku Florisdorf, i ztamtąd operuje przeciwko — zgadnijcie, przeciwko komu operuje ten reprezentant prowincji polskiej (!)... Przeciwno wiedeńskiemu antysemityzmowi! A jaką bronią operuje?

Oczywiście, jako filozof prawdziwy i przyjaciel ludzkości, ten Bloch niema na swoje zawołanie ani żołnierzy, ani policyantów, ani kozy; ma przecież słowo i pióro, i temi wojuje. Tylko że to pióro i to słowo nie jest polskie (bo i któżby go tu zrozumiał?), ale niemieckie. Rabbi Bloch redaguje we Florisdorfe pismo tygodniowe: „Oesterreichische Wochenschrift“, zajmujące się prawie wyłącznie zniweczeniem i wykorzenieniem antysemityzmu „z serc i z sumień“... Co za naiwność tego filozofa! Nawet żydzi śmieją się z niego.

Siedm prac herkulesowych naszego filozofa, to walka nieustająca, podjazdowa, z pismami i „pisemkami“ atysemickimi w Wiedniu. Ma się rozumieć, żadna z tych publikacji nie przestała wychodzić dla pięknych oczu kołomyjskiego żydka. Owszem, zdarzyło się coś, czego on nie przewidywał i na co nie był przygotowanym.

Trudne jest położenie pism antysemitycznych w Austrii. Szczwane i prześladowane przez cały kolosalny aparat żydowskiej intrygi, mają one przytem przeciw sobie politykę państwa, która pragnie wewnętrznego pokoju *coûte que coûte*, jak mówi francuz, zatem mają przeciwko sobie nie tylko samo żydostwo, ale nadto policję, sądy i tym podobne przyjemności. Żyją też one ciąglą ofiarą i niesłychanem poświęceniem redaktorów i przyjaciół, co żydkowie widzą i rozumieją wybornie, i według tego stosują swoje ciosy. Zatem Rabbi Bloch grzebie te pisemka co tydzień, tymczasem, o zgrozo! — pewnego pięknego poranku pojawia się w Wiedniu gazeta nowa, wyglądająca bardzo poważnie i bardzo okazale, a pełna przytem znakomitych artykułów politycznych, społecznych i ekonomicznych; słowem gazeta, nie ustępująca ani obfitością treści, ani jej formą, żadnej z tutejszych żydowskich, Rotszyldowskich Press i Blattów, gazeta z długim, długim ogonem inseratów i ogłoszeń — *gazeta antysemitcka*, która wielkimi literami na zagłówku sama się tak. t. j. antysemitcką, najwyraźniej nazywa. Niesłychane, zdumiewające zdarzenie! I wszystko zresztą dałoby się wytłumaczyć, ale co jest już niepojętem, to zkad mianowicie gazeta ma tyle inseratów i ogłoszeń? A wychodzi ona przytem tak, jak największe tutaj, dwa razy na dzień: rano i wieczór. Z początku zdawało się, że to jest fajerwerk pierwszych dni. Tymczasem gazeta antysemitcka wychodzi już tygodnie, ba nawet miesiące z tą samą żywotnością i obfitością, z tym samym zapasem moralnej i fizycznej siły. Nazywa się ona „*Deutsches Volksblatt*“ — pismo dla ludu niemieckiego, a dodajmy jeszcze, że głównym redaktorem tego zdumiewającego dziennika jest Ernest Vergani, poseł do wiedeńskiej rady państwa, jeden z najznakomitszych przywódców austriackiego antysemityzmu.

To co tutaj powiedziałem o nowym piśmie codziennym, mogłoby się może wydawać niejednemu z czytelników „Roli“ powiastką, bajką, zmyśleniem — a jeżeli już nie tem wszystkim, to przynajmniej przesadą, ozdobą stylu, dla zabawy czytających. Tymczasem, niema w tem żadnego zmyślenia, żadnej przesady, wszystko jest prawdą rzetelną. A jeżeli tak, — to zachodzi znowu pytanie, zkad czerpie środki przedsiębiorstwo takie, kosztujące setki tysięcy guldenów? — kto jest jego fundatorem i mecenasem?

Na to niema żadnej publicznej, autentycznej odpowiedzi, są tylko domysły. Ze wszystkich zaś przypuszczeń, obiegających w tej sprawie, najprawdopodobniejszym, podług mnie, jest to, że dziennik powyższy to odwet za osobistą krzywdę doznaną od żydostwa, odwet wielce rozumny człowieka wielkiej fortuny.

A jest nim nie kto inny, tylko Jerzy Schönerer!

Kto zaś jest Schönerer, o tem objaśnię Was bliżej — w notatce mej następnej.

Bolesław Szczerbiec.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Kościoty. Z Mińska gubernialnego donoszą jednej z gazet, że wkrótce już ma się rozpocząć gruntowna restauracja tamtejszego kościoła. Roboty malarskie powierzono jednemu ze zdolniejszych malarzy warszawskich. Sklepienie środka wejścia, przyozdobione kilkoma wielkimi rozmiarów obrazami, przedstawiającymi wyjątki z Nowego Testamentu, malowanymi *al fresco*, w początkach zeszłego wieku, mają być połączone stosowną ornamentacją i dopełnione odpowiednio do ogólnego stylu robót sztukatorskich. Podobnie będą odnowione ściany w nawach i kaplicach. Ogółem, roboty malarskie, malarskie, sztukatorskie, urządzenie wentylacji i t. p. ocenione są na 20,000 rubli.

Nowy sklep ziemiański. Kółko ziemian z okolicy Stepnicy (gub. Kielecka), chcąc się uchronić przed wyzyskiem żydowskim, postanowiło wspólnymi siłami założyć w mieście ten sklep z przedmiotami najniezbędniejszymi w gospodarstwie rolnem i domowem. W tym celu, kapitał w sumie 3,000 rubli, został już złożony i otwarcie sklepu ma nastąpić wkrótce. Życząc jak najlepszego powodzenia zakładającemu się w uczciwym celu przedsięwzięciu, wyrażamy zarazem i życzenie drugie: obyśmy wiadomości podobne jak najczęściej notować mogli!

Zaliczki na zboże. Rada państwa zezwoliła zarządom kolejowym wydawać pożyczki na zboże nie tylko z funduszów banku państwa, ale i z banków prywatnych.

Fabryka przetworów owocowych w Kazimierzu nad Wisłą, założona przed dwoma laty przez p. Kułakowskiego, cieszy się, jak donosi korespondent „Ziarna“, świetnem powodzeniem. Właściciel fabryki stoceżył p o m y ś l n ą walkę z chałatowymi arendarzami sadów, a co też i całej okolicy tamtejszej wyszło na dobre. Właściciele bowiem ogrodów nie wypuszczają ich już teraz za bezcen żydom, czyli nie oddają ich na... zniszczenie, ale sprzedając owoce do fabryki bezpośrednio, osiągają kilkakrotnie wyższą cenę niż przedtem. Ztąd też sady w okolicach Kazimierza dają poważne dochody i stanowią obecnie jedną z większych pozycji w ogólnym budżecie gospodarstwa wiejskiego.

A więc można i staczać z nimi walkę i radzić sobie bez nich — skutecznie.

Jeszcze z powodu ogólnego zebrania w Warszawskim Towarzystwie wzajemnego kredytu. Dzienniki nasze, podając sprawozdania z ostatniego zgromadzenia członków Towarzystwa wzajemnego kredytu, — przemówienia i interpelacje p. Maciejowskiego zbyły, jak zwykle, lekką wzmianką szyderczą; tymczasem przemówienia te nie były bez interesu dla szerszego ogółu. Oto zresztą jak się mianowicie ten epizod (o innych pisaliśmy już w numerze poprzednim) dyskusji przedstawia:

Pan Maciejowski, przed zatwierdzeniem sprawozdania, żąda przede wszystkim objaśnienia, czy nie zaszła pomyłka w opinii Rady utrzymującej, że w przeciągu roku 1888-go kasa pobierała od pożyczek na zastaw papierów publicznych 8⁰/₀, to jest tyle, ile pobierał Bank państwa; w rzeczywistości bowiem bank ten ostatni pobierał ni z s z ą (6¹/₂ i 7⁰/₀) stopę procentu? Na to odpowiada p. Bloch, że pan M. jest w błędzie, gdyż 8⁰/₀ odnosi się do kredytów otwartych, a p. Rotwand uważa, że samo orzeczenie w sprawozdaniu wykazuje jasno niesłuszność zarzutu p. Maciejowskiego.

Pan M. chce odpowiedzieć p. p. Blochowi i Rotwandowi, ale przewodniczący zgromadzeniu odmawia mu głosu, z racji (!) że już mówił. Pan M. żąda jednak głosu koniecznie, dla objaśnienia czynionych mu zarzutów, i wykazuje, na podstawie cytaty ze sprawozdania, że wspomniona powyżej opinia Rady jest niezgodna z prawdą.

Po odpowiedzi zaś p. Wieniawskiego, że Towarzystwo wzajemnego kredytu nie może stawiać narówni awych środków ze środkami jakimi rozporządza Bank państwa, — p. Maciejowski rozbiera dalej sprawozdanie i dowodzi:

że Towarzystwo, według ducha i litery ustawy, nie ma być bankiem, ale instytucją wzajemnej pomocy;

że przeto powinno tu iść o udzielanie kredytu na warunkach jak najdogodniejszych;

że niewłaściwem jest powoływanie się w sprawozdaniu na fakta niezgodne z prawdą;

że, według §§ 18 i 49 ustawy, powinna być pobierana stopa procentu, nie zaś stopy procentów;

że więc owa stopa procentu powinna być jednakową dla wszystkich, gdy tymczasem w roku 1888 wynosiła ona 6¹/₂% od weksli krótkich t. j. kupieckich, czyli mówiąc jeszcze jaśniej, żydowskich, — od weksli zaś długich (ziemiańskich) brano 8 a nawet 8¹/₂%!

że takie oznaczanie innej stopy procentowej dla kupców (czyli żydów), a innej (wyższej) dla rolników jest nie tylko wysoce niewłaściwem, ale i niezgodnem z ustawą;

że wreszcie sprawozdanie w wielu punktach jest niejasnem i jako takie, a nadto jako zawierające rzeczy niezgodne z prawdą, zatwierdzeniem być nie powinno.

Ba! — nie powinno — ale po „wymownych“, „udzielanych z cierpliwością objaśnieniach“ zarządu, popartego przytem gorąco przez panów Rosenblumów, Rotwandów etc. — zatwierdzeniem zostało — nawet przy akompaniamencie hucznych i rzęsiстых oklasków. Klaskali żydowie, a nie-żydzi... milczeli, bo i któżby śmiał stanąć w opozycji z szafarzami kredytu? Takich niepraktycznych zuchwałów jest, jak dotąd, stosunkowo niewielu...

Słuszna skarga. Pan Michał Kurnatowski, zamieszkały w Warszawie przy ulicy Żórawiej pod N-rem 43, nadesłał nam skargę zasługującą na uwzględnienie. W skardze tej idzie o wysoce niewłaściwe postępowanie tych kupców chrześcijańskich, którzy, podnosząc ceny towarów w czasie świąt żydowskich, dowodzą przez to nie tylko wyraźnego mijania się z zasadą sumiennosci, ale i braku zdrowego, mówiąc szczerze — rozumu. W ten to bowiem sposób kupcy ci, nie tylko szkodzą samym sobie, przez odstępianie publiczności od własnych swoich sklepów, ale nadto dyskredytują w ogóle handel chrześcijański, popierają najskuteczniej — żydostwo! Doprawdy, w taktyce podobnej jest coś dziwnie idyotycznego, i trudnoby też było dać jej wiarę, gdyby nie powtarzające się od czasu do czasu fakta, z których jeden właśnie i pan K., na poparcie swojej skargi przytacza.

W domu pana K. potrzebowano drożdży do przyrządzania pieczywa na minione święta Wielkiejnocy, to jest potrzebowano w czasie, w którym zapadły już właśnie święta żydowskie. Posłano tedy do dwóch sklepów chrześcijańskich w okolicy Placu Ś-go Aleksandra, lecz i w jednym i w drugim zażądano za funt drożdży rs. 1 kop. 50. U „mączarzy“ zażądano już mniej, bo rs. 1 kop. 20, a w sklepie stowarzyszenia — „Merkury“ sprzedano też same drożdże wiedeńskie po 60 kop. funt.

Jakiemże więc prawem i z jakiej racji — zapytuje ze słusznym oburzeniem pan K. — panowie kupcy chrześcijańscy pozwolili sobie na towarów, żądany w większych ilościach przed świętami, nakładać ceny tak... dowolne? Czy z racji jedynie świąt żydowskich?

Zapewne z racji świąt, z racji niesumiennosci, ale przede wszystkim z racji swej ciężkiej... nierozwagi. I cała też po ciecha w tem, że kupcy-chrześcijańscy tak nie umiejący pojąć interesu przede wszystkim własnego, a tak dzielnie zato umiejący popierać oszukańczy zawsze handel żydowski, należą już chyba do wyjątków.

Nowości wydawnicze. Wyszedł z pod prasy zeszyt I-szy seryi trzeciej „praktycznych wzorów rysunkowych“ Ksawerego Pillatiego.

Z powodu 200-letniej rocznicy urodzin ks. Baudouina, p. Franciszek Walczakiewicz wydał godną zalecenia książeczkę p. t. „Ksiądz Piotr Gabryel Boduin, Misyonarz, założyciel domu podrzutków i pierwszej ochrony w Warszawie“. Pracę tę swoją, skromną, ale pocztową, autor dedykował J. E. Arcybiskupowi Warszawskiemu.

(Dokończenie Kroniki w Dodatku).

Z powodu świąt i braku ściślejszych danych, sprawozdania handlowego w N-rze dzisiejszym nie pomieszczamy.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. A. Wiś... p. Sieradz z Mence. — List wystaliśmy d. 19 b. m.; widocznie minął się w drodze z listem Szanownego Księdza Dobrodzieja. Za wiadomości dziękujemy uprzejmie; o spełnienie łaskawej obietnicy prosimy bardzo.

P. J. Giżycki w Mitawie. — Za życzenia dziękujemy serdecznie. — O krótkie sprawozdanie prosimy.

P. J. J. w Warsz. — Dziękujemy. O „bazarze“ będzie w przyszłym numerze.

R. Kr... w Warsz... — Jeszcze musieliśmy zatrzymać do numeru przyszłego; rzecz jednak nie tylko nie straci na tem, ale owszem zyska.

P. A. Saladycki w Warsz. — Nie rozumiemy dobrze listu sz. pana. Bo najpierw nie było i nie mogło być żadnego „szarpania“ nazwisk dla tej prostej przyczyny, że nazwisk nie było wcale, a powtóre nie wiemy czy sz. pan chciałbyś widzieć żyda na czele zgromadzenia chrześcijańskiego, czy też przeciwnie, nie życzyłbyś ani sobie, ani swoim kolegom tego widoku i tej... a n o m a l i i. Co do nas, możemy pana najkategoryczniej zapewnić, że nie szło nam zgoła ani o nazwiska, ani o osoby, ale

o zaprotestowanie przeciw tego rodzaju żydowskiemu i judofliskim pokuszeniom. Wszak od tego jesteśmy.

P. Kurnatowski w Warsz. — Skargę sz. pana, z zasady bezstronności, pomieszczać, nie godząc się jednakże na jej konkluzję i uważając tę ostatnią raczej za skutek chwilowego—rozdrażnienia. Wbrew też zdaniu sz. pana, nie przestaniemy powtarzać: od takich dobrodziejów i „regulatorów (!) cen“ wybaw nas Panie!

Panu A. Wi... w B... — Nie, sz. panie! Byłoby to niesprawiedliwością, a my ani względem żydów, ani też względem kogokolwiek niesprawiedliwymi być nie chcemy.

Czytelniczce. — Już było w N-rze 12-stym.

N A D E S Ł A N E.

Wszystkie składki kolonialne i spożywcze są zaopatrzone w makarony w paczkach $\frac{1}{1}$, $\frac{1}{2}$ f. firmy L. Krzymuskiego, a tylko za dobroć takich, jako rzeczywiście własnego produktu, fabryka odpowiada.

Do powiększenia interesu przemysłowego potrzebna spółniczka lub spółnik z kapitałem od 3-ch do 5-ciu tysięcy rs. Wiadomość w Redakcji „Roli“, Nowy-Swiat № 4.

R E K L A M Y.

Dentysta Marcei Grzeszkiewicz, Nowy-Swiat № 55, przyjmuje od 10-tej do 6-tej, — specjalnie sztuczne zęby. (325-0-2)

Gabinet dentystyczny A. Stokowskiego, przeniesiony został na ulicę Krakowskie-Przedmieście № 53 (dom W-go Kocho). (323-3-1)

O G Ł O S Z E N I A.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Belańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137 (9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych. (243-52-17)

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Koldry, Dery i t. p. JUTY i WĘŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

S. Hiszpański, Bielańska 6.

Istnieje od 1838 r.

Mam zaszczyt podać ceny niektórych gatunków gotowego obóvia, w celu przekonania, że głoszone wieści o drożyznie w moim magazynie są nieuzasadnione, jak również dla oszczędzenia fatygi potrzebującym tańszego.

Kamasze całkowite	od rs. 7	Buciki na guziki i sznurowane	od rs. 7.50
Kamasze obłożone	„ 8	Buty z cholewami	od rs. 12.—
Buty z cholewami	„ 10	Trzewiki v. pół-buciki	od rs. 6.—
Trzewiki spacerowe	„ 7	Pantofelki	od rs. 5.—
Pantofle	„ 5		
Buciki z gumą, z hamburską przyszwą	od rs. 6		

Pracownia posiada znaczny wybór materiałów, z których obóvia robione na miarę, zadowolnić może każdego pod względem wygody, trwałości i prawdziwie dobrego gustu. WYROBEM obóvia na sprzedaż hurtową dotąd nie zajmuję się. (310-6-3)

Pierwsza nagroda konkursowa od Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

MEDAL SREBRNY

ZAKŁAD ARTYSTYCZNY

Wyrobow z drzewa, kościelnych i salonowych

LEOPOLDA BELOW

ulica Biała Nr. 2
w Warszawie.

W WILNIE
przy ulicy WIELKIEJ wprost TEATRU
Chrześcijański (Katolicki)
MAGAZYN SUKIENNY
pod firmą
„NADZIEJA”.

Zaopatrzony w nowy wybór towarów letnich, najnowszych deseni dla mężczyzn i dam, a także w Dywany, Pledy, Kołdry i Chustki, poleca się łaskawym względem Szanownej Publiczności. Z powodu wielkiej konkurencji — **cenę umiarkowaną, stałą.** Za dobroć towaru magazyn odpowiada. Obstalunki pocztą uskutecznią się natychmiast. Na żądanie, wysyłam próbki z oznaczeniem cen.
(244-6-6) **Władysław Dawidowski.**

ZAKŁAD (328-3-1)

GALANTERYJNO-LAKIERNICZY

i MALARSKO-KALIGRAFICZNY

KAZIMIERZA BUBLEWICZA

Dawniej Elektoralna Nr. 23 vis-à-vis Szpitala,

Obecnie

Krakowskie-Przedmieście Nr. 12

vis-à-vis kościoła św. Krzyża.

Wykonuje napisy na Szkle, Metalu, Murze, Lakieruje drzwi, okna, wystawy sklepowe, imituje wszelkiego rodzaju drzewo, marmury, po cenach umiarkowanych.

Skład Zegarów i Zegarków

W. GRABAU

Nowy-Swiat Nr. 69

1-sze piętro.

Za sprzedany i reperowany zegarek poręczam na lat dwa.

FABRYKA i MAGAZYN

WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

KONNEJ JAZDY I POŁOWANIA

T. L. BREYMEYER, — Warszawa

Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaże
Płaszcz gumowe — Buty filcowe
Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane
Torby myśliwskie — Futerały na broń
Portmonetki — Pugilaresy — Portcigary — Woreczki i t. p.
Wszystkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

ZAKŁAD ARTYSTYCZNY

RZEŹBIARSKI i KAMIENIARSKI

Henryka Żydok

Dzika 45, w Warszawie

posiada wielki wybór

POMNIKÓW

z marmuru, granitu i piaskowca; — muruje groby.
Filja zakładu na Brudnie, przy Nowym Cmentarzu.

Jedyna specjalna Fabryka Ozdób Kościelnych

Karola Szonert

w Warszawie, — Leszno Nr. 62.

NOWO-OTWARTA TANIA WINIARNIA BESSARABSKA J. ŁOŻYŃSKIEGO

25. PODWALE 25.

Zaopatrzona w wyborowe wina białe łagodne i wytrawne — z własnych winnic, po cenie rs. 1, rs. 1 kop. 30 i rs. 1 kop. 50 za garniec. W odpowiednio urządzonej piwnicy, sprzedaje wina na lampki, poczynając od 5 kop.

(292-4-4)

SKŁAD NICI I TOWARÓW GALANTERYJNO-NORYMBERGSKICH HELENY BONICZKOWSKIEJ

Krakowskie-Przedmieście 41, naprzeciwko ulicy Bednarskiej

Poleca:

Bawełnę, Crepe-plisse (Kryzy), Chustki jedwabne, sznełowe i włóczkowe, Fartuchy, Gorsety, Guziki, Grzebienie, Galanterie, Hafty, Halki, Igły, Jedwab, Krawaty, Kamasze włóczkowe, Koszulki bawełniane i wełniane, Kanwę, Mydła toaletowe, Nici, Pończochy, Podszewki, Rękawiczki, Skarpetki, Spinki, Spodnice i Kastaniki włóczkowe, Szpilki do włosów, Staniki „Jersey”, Woalki, Wstążki, Wyroby wełniane i włóczkowe, Wodę kolońską i Pudry.

CENY PRZYSTĘPNE

(268-12-7)

Pierwsza w Kraju

Medal
1885.

FABRYKA SZUWAKSU
OD ROKU 1825 EGZYSTUJĄCA

Medal
1885.

JANA SEYDLITZ

w Warszawie, Królewska Nr. 25 (31).

62 lat wyrabiany szuwaks (błyszcz) ma tę własność, że długo utrzymuje piękny czarny połysk, nie brudzi zupełnie ubrania i długo konserwuje obuwie.

W handlu znajduje się bardzo wiele szuwaksu bądź podrabianego lub naśladowanego na mój sposób. Pudełka ich opatrzone są etykietami podobnymi do moich i podpisami Szpinak jak Jan Seydlitz, Szpinak J. Seydlitz, J. Seydlitz, H. Seydlitz, G. Seydlitz, oraz z innymi podobnymi nazwiskami.

Jakkolwiek etykiety ich do złudzenia imitują moje, gdyż panowie ci pozwalają sobie nawet nazywać marki mojej; bojąc się jednak odpowiedzialności kryminalnej, używają jej cokolwiek odmiennie, to jest w formie klucza odwróconego uszkiem w inną stronę, z uszkiem przełamanem, lub toporka w obwódce z napisem (Fabryka Błyszczu Jana Seydlitz).

Wyroby takowe naśladowując zewnętrznie formę wyrobów moich, nie mają żadnej wartości, gdyż wyrabiane są z najgorszych materiałów, a zamiast tłuszczu przesyczone są kwasami, wskutek tego zamiast konserwować obuwie, przepalają je i niszczą w krótkim czasie.



Szuwaks (błyszcz) z właścicielami Mu przymiotami, pochodzący z fabryki JANA SEYDLITZ, opatrzony jest na każdym pudełku marką fabryczną, zatwierdzoną przez Departament Handlu i przemysłu, wyobrażającą znak klucza.

Ostrzega przeto

Szanowną Publiczność i PP. kupców fabryka JANA SEYDLITZ, aby nie pozwalali wprowadzać się w błąd i raczyli zwracać uwagę na markę fabryczną i całomienny podpis JANA SEYDLITZ.

Poleca także Smarowidło czarne na wszelkie skóry powozowe, uprzęż i buty myśliwskie, oraz Pomadkę do czyszczenia Bronzów i innych Metali, a także Atrament w różnych kolorach i w najlepszym gatunku.

Panom Kupcom z prowincji, odnoszącym się z obstatunkami wprost do kantoru fabryki mojej, odstępuję 37% rabatu, bez różnicy w ilości obstatowanego towaru. Osobom prywatnym kupującym wyrobów moich za rs. 3, odstępuję 20% rabatu. Na żądanie cenniki wysyłam bezpłatnie.

Jednocześnie OSTRZEGA się wszystkich podrabiaczy firmy mojej, że prędzej czy później, na drodze kryminalnej, ścigać ich i stracić swoich dochodów będę.

(228-12-9)

KANTOR

Eksplatacyi Kopalni i Zakładów Wapiennych
w Sulejowie i Opocznie

firmy

JÓZEF BANDURSKI I S-KA

Z powodu sprzedaży interesu detalicznego w Warszawie przy ulicy Okopowej Nr. 9/10 przeniesiony został tymczasowo na ulicę Chłodną Nr. 53 — gdzie załatwiać będzie czynności dotyczące się zakładów i wagonowej sprzedaży Wapna, Kamienia wapiennego, Cementu i i. p.

257-0-17



Bandaż

FABRYKA I SKŁAD
Narzędzi Chirurgicznych i ostrych
stalowych, oraz Bandaży,

F. Balukiewicza
W WARSZAWIE

Bielajska Nr. 9, hotel Paryżki.

Przyjmują się wszelkie reperacje w zakresie
fabryki wchodzące. (231-26-16)



274-24-21

SKŁAD WIN J. LIJEWSKIEGO i S-KI

Krakowskie-Przedmieście Nr. 6.

(wprost kościoła Ś-go Krzyża),

Mianowanego przez Prześwietny Konsystorz generalny Warszawski Przysięgłym Dostawcą Win Kościelnych, poleca bogaty wybór Win Węgierskich dobrze odstających i z rozmaitych lat, jak również wszelkie inne gatunki Win zagranicznych. — Wskutek obecnie korzystnego kursu waluty naszej, znaczna obniżka cen. — Sprzedaż na beczki, baryłki i garnce. — Ekspedycja do wszystkich stacji kolei żelaznej

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU
MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokoi jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapiearskie i dekoracyjne, podług najwiewszych żurnali

(253-13-4)

Fabryka Wyrobów

Blacharsko-Galanteryjnych

oraz przyborów dla cukierników

pod firmą

„MINERWA”

ulica Wielka Nr. 31 nowy
w WARSZAWIE.

Handlującym odstępuję się rabat. Polecenia z prowincji załatwia się spieszenie za zaliczeniem pocztowym.
Ceny niskie.

(289-4-4)

H. Lohr i Syn Saaz [Czechy]

Wylączna sprzedaż
Oryginalnego Płótna Angielskiego

NA RAMY DO SUSZENIA CHMIELU

Poleca również **SADZONKI CHMIELOWE** Saackie z najszlachetniejszych plantacyj.

Reprezentant na Królestwo **Koschmider Otton** Chmielna 88.
(306-3 3) **WARSZAWA.**

SPECYALNA FABRYKA I MAGAZYN
BIELIZNY MĘZKIEJ

A. KIERST I S^{ka}

5. Bielańska 5.

(vis-a-vis Daniłowiczowskiej)

poleca **NAJTANIEJ** znaczny zapas eleganco, podług modeli paryskich, wykończonej bielizny męskiej.

Koszuleienne Sz. po rs. 1.35, 1.65, 1.80, 2.00, 2.25 i drożej.
nocne „ „ „ 1.20, 1.50, 1.80, 2.00, 2.50 „

Kołnierzyki wszelkich rozmiarów Tuz. od rs. 2.40.

Mankiety 26—28 cm. sz. „ „ „ 4.80.

Calessony „ „ „ 14.40.

Krawaty, Spinki, Szalki, Szelki, Chustki webowe do nosa, **Skarpetki, Kaftaniki** p. artykuły w wielkim wyborze.

Próby i Cenniki szczegółowe, wyślejamy na prośbę na żądanie oddzielnie, zamówienia zaś za zaliczeniem pocztowem, nadesłaniem gotówki.

Najlepszy koszt Koszul Męskich.

Zakład Rzeźbiarski i Kamieniarski

N. NOWAKOWSKIEGO

ulica Dzika Nr. 71.

posiada gotowe pomniki, oraz przyjmuje zamówienia na roboty grobowe i pomnikowe. (276-20-7)

Krawiec

M. CHMURCZYNSKI

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy.
na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakresie krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnówki jesienne i zimowe palta, sakpala, surduty, tużurki, żakiety, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszewki, nieuje, reperuje zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowuje, jak najakuratniej po cenach bardzo niskich, na przykład spodnie kortowe od rs. 3 kop. 50. garnitury marynarkowe od rs. 15 i t. d. (289-52-5)

MAGAZYN MEBLI K. Dziegielewskiego S-to-Krzyżka Nr. 5.

Poleca wielki wybór mebli stylowych i fantazyjnych, oraz najświeższe dekoracje.

270-26-19

NA CZASIE.

(278-52-1)

Broszurkę 80 str. druku z ważnym dodatkiem, niezbędną dla każdego z p. p. budujących, wyślejamy franko, bezpłatnie.

Kupującym prawdziwy i oryginalny „Exsiccator“ należy zwrócić uwagę na poniższą markę fabryczną, zatwierdzoną przez rządy wielu państw europejskich, która znajdować się winna na wszelkich naczyniach fabrycznych.

Uwaga: Bezustanne i kłamliwe przechwały gudsonitu czyli smoły, skierowanej przeciw „Exsiccatorowi“, w swoim czasie w kilkunastu pismach wyjaśniłem i wykazałem bezzasadność takowych.

Wynalazca „Exsiccatora“ Inż. Tech. G. Ritter

Warszawa,—Królewska 39.



Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S^{ka}

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

260-52-17

Fabryka Rękawiczek W. JANUSZEWSKIEGO

przy ulicy Bielańskiej Nr. 16, w domu Zawiszy

pod firmą

WIKTOR

egzystująca

poleca swoje wyroby po cenach niskich, względnie do dobroci materyałów z jakich są zrobione. (305-6-4)



259-10-6

ISTNIEJĄCA OD ROKU 1853

Fabryka Mydeł i Swiec

L. J. STENTZEL

sprzedaż hurtowa i detaliczna
w domu przy ulicy Solnej Nr. 14.

(297-5-4)

Treść numeru: Nierozum czy... niesumiennosc? przez J. Jeleńskiego.—Listy z Galicyi, przez Rolarza, XXXVIII (dok).—Koniec świata przez E. Drumonta (d. c.).—Pan pułkownik w Derkałach przez Wincentego hr. Łosia (d. c.).—Na posterunku, feljeton Kamiennego.—Z całego świata, przez E. Jerzykę.—Judaica (Rabbi Bloch, Herkules Izraela).—Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna.—Odpowiedzi redakcyi.—Ogłoszenia.—W odcinku: Von Kramet przez Autorkę „Opowiadań“ (d. c.).—W Dodatku: Kronika bieżąca.—Ogłoszenia.

Redaktor i Wydawca **Jan Jeleński**. Дозволено Цензурою.—Варшава 13 Апрель 1889 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Swiat N-r. 61)

Do dzisiejszego N-ru dołącza się, na prośbę, cennik firmy „T. Kowalski i A. Trylski“.

Patrz Dodatek